Nr. 22. Warszawa, dnia 30 (18) Maja 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Z OTCHŁANI.

Przerwaliśmy na czas jakiś nić doniesień o emigracyi brazylijskiej, gdyż oprócz ogólników narzekań i listów, opisujących różną biedę i rozczarowania, nie wypływało na wierzch nic nowego. W ostatnich dopiero tygodniach przybyły fakty i objaśnienia, które każą nam powrócić do tej nieszczęsnej sprawy. Przedewszystkiem *Warszawskij Dniewnik* na podstawie źródeł urzędowych dał nam przybliżone obliczenie rozmiarów wychodźctwa. Z dziesięciu gubernij Królestwa Polskiego (kielecka nie dostarczyła danych) w ciągu ostatnich trzech miesięcy roku zeszłego i stycznia roku bieżącego wydaliło się około 12,000 osób. Ruch emigracyjny ogarnął głównie gubernie: płocką, warszawską, kaliską i piotrkowską. W podanej sumie znajdowało się 3,500 mężczyzn, 2,500 kobiet, resztę zaś stanowiły dzieci, zabrane przez rodziców. Większość emigrantów miała wiek średni, od 25—45 lat, ale zadziwiającym jest stosunkowo znaczny procent starców. Niektórzy zostawili w kraju rodziny, inni oprócz żon zabrali po siedmioro i ośmioro dzieci.

W styczniu r. b. ruch emigracyjny — według *Dniewnika* — ustał, ale w lutym się odnowił. Z gub. łomżyńskiej wyszły 174 osoby (w połowie żydzi), większość wszakże pozostawiła żony i dzieci; z kaliskiej około 65 rodzin, z płockiej 90, z siedleckiej 28. W marcu opuściły gub. łomżyńską 334 osoby — pojedyncze; z kaliskiej 41 rodzin, z siedleckiej 7, z płockiej 81. Wiadomo również, że na wiosnę gorączka emigracyjna objawiła się w gub. lubelskiej, wprzódy nią słabo dotkniętej.

W cyfrach powyższych łatwo dostrzedz jeden szczegół bardzo charakterystyczny, mianowicie zwiększanie się na wiosnę w niektórych okolicach emigracyi jednostkowej. Szczegół ten wskazuje, że ostrzeżenia ze strony władz, księży, inteligencyi, pism peryodycznych i książeczek nie poskutkowały całkowicie, ale zachwiały wiarę ludu w szczęśliwość brazylijską. Pierwsze jego fale płynęły rodzinami, późniejsze wyruszyły ostrożniej, jak gdyby na wywiady. Nieprzekonani jeszcze, ale już trochę nieufni, pozostawiali w kraju rodziny i wyjeżdżali sami z nadzieją sprowadzenia żon i dzieci, gdy o rzeczywistości raju się przeświadczą, lub z zamiarem powrotu, gdy on okaże się złudzeniem. Ponieważ agenci obiecywali podróż bezpłatną, więc śmiałej awangardzie zdawało się, że niczego nie ryzykuje i że w najgorszym razie zwiedzi darmo ciekawe kraje. Nie przeczuwali biedacy, jak dalece ich rachuba była mylna.

„Jeżeli idąc ulicą miasta — pisze ks. Chełmicki — w okolicy nadmorskiej, lub cuchnących zaułkach, spotkasz istotę podobną do człowieka, z piętnem choroby na twarzy, z zapadłymi policzkami, przymglonemi oczami, przygnębioną, z trudnością wlokącą za sobą nogi, w odzieniu podartem i wytartą czapką na głowie — nie pytaj — skąd jest, skąd pochodzi? Możesz być pewien, że to polski emigrant.

W tej chwili znajduje się w Rio około 1,700 naszych wychodźców. Większa ich część to uciekinierzy z odległych kolonij, przygnani tu przez widmo śmierci głodowej, która ich czekała w dziewiczych lasach lub niedostatku i biedy w plantacyach.“

Śród 500 emigrantów, których ks. Ch. odwiedził, nie było ani jednego, któryby choć raz nie uległ dłuższej chorobie, a dzieci są stanowczo skazane na zagładę. Niektórzy w ciągu trzech miesięcy przebyli piechotą o żebraczym kiju dalszą przestrzeń, niż z Warszawy do Neapolu. Pewien włościanin z pod Rypina, straciwszy żonę i czteroletniego synka, chcąc ocalić pozostałą córeczkę, oddał ją bezdzietnemu małżeństwu brazylijskiemu. „Doprawdy — mówi ks. Ch. — w głowę zachodzę, jak rząd brazylijski mógł dopuścić, aby ci ludzie przybyli do Rio, gdzie wszystko sprzysięgło się na ich zagładę! To też przed kilkoma dniami, widząc tłumy obdartych nędzarzy, suwających się po ulicach miasta, opinia publiczna zaczęła się tutaj oburzać na obojętność rządu, tem więcej, że skutkiem panującej na „wyspie kwiatów,“ gdzie się znajduje dom emigrantów, żółtej febry, nie można ich było tam pomieścić i byli zmuszeni spać pod gołem niebem na placach. Rząd zdobył się na krok stanowczy: ale jaki? Oto otoczono biedaków, przymusem wpędzono na okręty i rozesłano po różnych koloniach. Nie obyło się przytem bez płazów i takich nadużyć, jak rozłączenie żon od mężów, rozdzielenie rodzin itp.“

I to wszystko dzieje się w wieku, otrębującym ustawicznie hasła humanizmu i domagającym się zniesienia niewolnictwa w Afryce, w państwie, które świeżo u siebie zaprowadziło rzeczpospolitę „dla położenia końca nadużyciom“! Ale dajmy pokój zdziwieniu, bo zbyt często należałoby je powtarzać i marnować.

Środki, jakie posiadali dwaj nowi delegaci, pp. Glinka i Chełmicki, pozwoliły im uratować z tej piekielnej otchłani paręset nieszczęśliwych. Według telegramu do *Kuryera warsz.*, na statku „Köln“ wyprawiono d. 22 b. m. z Brazylii z powiatu błońskiego 4 wychodźców, z brzezińskiego 4, z ciechanowskiego 4, z częstochowskiego 2, z garwolińskiego 1, z kaliskiego 8, z kieleckiego 2, z kolskiego 17, z konińskiego 21, z kutnowskiego 11, z łaskiego 1, z łódzkiego 7, z łowickiego 1, z mławskiego 22, z nieszawskiego 5, z ostrołęckiego 1, z piotrkowskiego 2, z płockiego 15, z prasnyskiego 2, z pułtuskiego 2, z rawskiego 2, z rypińskiego 3; z sieradzkiego 1, z sierpeckiego 3, ze słupeckiego 17, z sokołowskiego 2, z tureckiego 3, z warszawskiego 38, z węgrowskiego 2, z włocławskiego 9. Razem powraca 232 osób. Zastosowano tu zasadę, którą jako najwłaściwszą i najskuteczniejszą uważaliśmy w takiem przedsięwzięciu, mianowicie wybrano wychodźców z roz-

maitych stron kraju. Powróciwszy, staną się oni najwymowniejszymi agentami przeciw emigracyi i ogarną szerokie jej pole. Wobec tych wiarogodnych i przekonywających świadków chyba zagraniczni naganiacze nie będą śmieli zapuszczać swych zdradzieckich sieci. A jest to przeciwdziałanie potrzebne, gdyż, jak zapewnia *Warszawskij Dniewnik*, ciągle zatrzymywane są na granicy partye wychodźców. „Poufne propozycye i wezwania agentów emigracyjnych, ogłoszenia, bilety przejazdowe itp. papiery, nazywane „dokumentami emigracyjnymi," lud prosty istotnie uważa za dokumenty urzędowe i zupełnie im wierzy. Sam ten fakt, że papiery te przychodzą przez pocztę, uważa za dowód ich prawdziwości, przypuszczając, że skoro rząd nie zabrania rozsyłania tych „dokumentów," to uznaje je za legalne, a emigracyę uważa za pożądaną." *Dniewnik* twierdzi dalej, że w tym też duchu tłomaczone bywa mylnie rozporządzenie, nadające generał-gubernatorowi prawo wydawania bezpłatnych paszportów emigracyjnych.

Z resztek gorączki wyleczą lud najpewniej te ofiary, które dzięki dobrej woli i obywatelskiej zasłudze powrócą do kraju. Ratunek ten jest jedynym z najpiękniejszych i najszlachetniejszych czynów naszego społeczeństwa. Nie każde, małe i ubogie, zdobyłoby się na podobną miłość i litość dla swych ginących gdzieś daleko biedaków.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Agencya północna donosi, że rząd ruski zapowiedział podniesienie swoich londyńskich zapasów złota. Rotschildowie już dostarczyli 2,000,000 f. szt., a w tych dniach mają być przywiezione 3,000,000. Jest to następstwo zerwania umowy w przedmiocie ostatniej pożyczki.

Austryacy są poważnie zaniepokojeni usiłowaniami Niemiec zawarcia traktatu handlowego z Rosyą; w takim razie bowiem straciliby część korzyści, jakie one im zapewniły świeżym układem celnym. Dla Niemiec zaś miałby taki kontrakt pierwszorzędną wartość, gdyż w przywozie Rosyi zajmują pierwsze miejsce z sumą 124,315,000 rs. Pozyskać ulgi cel w tak olbrzymim zakresie, byłoby geszeftem nielada, tem bardziej, że w wywozie Rosyi Niemcy stoją na drugiem miejscu z sumą 192,345,000 rs. (na pierwszem Anglia). Ale zabiegi rządu niemieckiego sięgają dalej po za zyski z tego pojedynczego stosunku. Dotąd zawarł on układy taryfowe z 9 państwami (Austro-Węgrami, Szwajcaryą, Serbią, Włochami, Rumunią, Belgią, Holandyą, Hiszpanią i Portugalią); jeżeli więc do tego wieńca przyłączy jeszcze Rosyę — Francya znajdzie się w zupełnem odosobnieniu. Jest to, zdaje się, główne marzenie cesarza Wilhelma i jego kanclerza.

Drzemała sobie w składach arsenału francuskiego piekielna materya, melinit, i nikt nie pamiętał, że tajemnica jej spoczywa w głowie wynalazcy Turpina i zawiadowcy fabryki Tripone'a. Ale pamiętali o tem ludzie, którzy pragnęli posiąść drogocenny sekret. Jakoż przez osła naładowanego złotem udało się angielskiemu Armstrongowi zdobyć upragnioną receptę, według której przyrządzone lekarstwo ma być dziwnie skuteczne — dla tępienia ludzi. Turpin oskarża o zdradę Tripone'a, ten znowu pierwszego. Sędzia śledczy chwycił się najstosowniejszego środka: przedewszystkiem wsadził do kozy obu.

Od tej kłótni o melinit dziwnie i przyjemnie odbijają dokonywające się obecnie w Wiedniu narady powszechnego kongresu pocztowego. Naturalnie chodzi w nich o dalsze ułatwienia w komunikacyi. Nad wynikami tego prawdziwie pokojowego sejmu zastanowimy się później szczegółowo.

Gdyby świat tylko zechciał usłuchać rad Leona XIII, nie miałby najmniejszego kłopotu i najzawilsze sprawy rozwijałyby się jak z płatka. Papież nietylko jest przekonany, że posiada lekarstwo na wszystkie choroby ludzkości, ale nadto lubi pisać. Więc ciągle wydaje bulle, listy pasterskie, encykliki. Obecnie znowu ofiarował światu swoje wypracowanie o kwestyi socyalnej. Naturalnie upewnia, że może ją rozwiązać tylko kościół.

Niezależnie od tego upewnienia bezrobocie w Belgii zakończyło się. Na uspokojenie umysłów ze strony politycznej wpłynęło niewątpliwie uznanie, jakie zyskała w społeczeństwie, w rządzie, a nawet w królu idea rewizyi konstytucyi. O ile więc wrzenie robotnicze podniecało się tą sprawą, osiągnęło swój skutek.

W Niemczech, odnawiających swój rząd, po Maybachu, ministrze komunikacyi, przyszła kolej na wice-kanclerza. Bötticher, który od znanego odkrycia w przedmiocie funduszu Welfów, chwiał się ciągle, i teraz ma upaść. Jako jego następcę wskazują głośnego przywódcę narodowo-liberałów, bar. Benningsena.

Nareszcie Portugalia zlepiła sobie gabinet pod skrzydłami generała d'Abreu e Souza. Jest to ciało wytworzone od biedy i niedługo zapewne żyć będzie.

Rząd serbski uznał częściowo zbytnią surowość w usunięciu królowej Natalii, gdyż ukarał dymisyą wykonawców swej woli, a między nimi prefekta policyi. I minister spraw wewnętrznych chciał ustąpić, ale go zatrzymano. Natalia wyjechała do Odessy.

W Nankinie tłum napadł na misye chrześciańskie i zburzył je.

ROZPORZĄDZENIA RZĄDOWE.

Reskrypt Najwyższy

na Imię Cesarzewicza Następcy Tronu.

„Wasza Cesarska Wysokość! Rozkazawszy teraz przystąpić do budowy jednolitej przez całą Syberyę drogi żelaznej, mającej połączyć obfitujące w bogactwa przyrodzone obwody Syberyi z siecią wewnętrznych kolei żelaznych, Ja poruczam Wam objawić taką wolę Moją przy wstąpieniu przez Was ponownie na ziemię ruską, po obejrzeniu cudzoziemczych krain Wschodu. Zarazem wkładam na Was założenie podwaliny pod budowę dystansu Ussuryjskiego wielkiej drogi żelaznej Syberyjskiej, który dozwolono budować kosztem skarbu, pod bezpośrednim zawiadowaniem rządu. Doniosły udział Wasz w rozpoczęciu przedsiębranego przeze Mnie tego zaiste narodowego dzieła, niechaj będzie nowem świadectwem Mojego z duszy dążenia ku ułatwieniu stosunków Syberyi z innemi częściami Cesarstwa i niechaj ujawnia temu krajowi, blizkiemu dla serca Mojego, najżywszą troskliwość Moją o pokojowy jego rozwój. Wzywając błogosławieństwa Bożego na czekającą Was długą podróż po Rosyi, jestem szczerze Was kochający

Alexander."

Najwyższy Ukaz do Senatu.

„Dla upamiętnienia odwiedzin Syberyi przez najukochańszego syna Naszego, pragnąc okazać łaskę Naszą zesłańcom, odbywającym teraz karę na Syberyi z mocy wyroków sądowych, którzy po dzień przyjazdu Jego Wysokości w granice Syberyi

2)

NOWY ABRAHAM.

Odkąd Lejzor zasiadł przy jego boku, Chaim unikał w tamtą stronę spojrzenia. Chłopak podał robotę i w oczekiwaniu dalszych rozporządzeń pozwolił sobie wyprostować się. Zdawało się, że urósł niespodzianie, tak sucha ta postać umiała kurczyć się nad robotą. Sucha bo też była! Istne źdźbło siana. Dziwić się należało, gdzie tam w takiej nędznej klatce piersiowej pomieścić się miały wszystkie organy. Odgiął się w tył, odrzucił wystające ostro ramiona, i nagle jęknął głucho; jak rozpalonem żelazem przeszył go ból. Obie ręce podniósł do piersi i śpiesznie skulił się znowu. Ojciec i teraz nie zwrócił nań oczu, igła tylko żywiej zamigotała mu w palcach. Po chwili podał synowi przygotowaną robotę; Lejzor wziął ją w milczeniu, pochylił się i zaczął wyciągać wysoko ponad głowę, długą jak leje, nitkę.

Cisza znowu zapanowała w izbie. Lampka kopciła, dopalając się ostatkami nafty, powietrze stawało się duszne, mrok coraz gęstszy nastawał. Ręka Chaima przechodziła w ruch coraz szybszy, ceglasty rumieniec zaczął przebijać przez ciemną skórę jego chudych policzków.

— Czy zaraz? — pyta od czasu do czasu Lejzora.

— Zaraz — odpowiadał chłopak przeciągle i cicho. I jakby naprzekór tym słowom stawał się coraz powolniejszy; igła nieznacznie zmieniała tempo swych poruszeń—zdawało się, że palce mu zastygają. W mdłem świetle dogasającego płomyka twarz jego przybierała znów wygląd księżyca, a z pod spuszczonej powieki patrzyły oczy duże, smutne, omdlałe.

— Czy zaraz? — pyta znów Chaim.

Lejzor usta otwiera, lecz zamiast zwykłego „zaraz" — wychodzi z nich parę krótkich, głębokich kaśnięć.

Chaim niżej opuścił głowę.

Niema już teraz pytań, ani odpowiedzi; cisza, a w niej od czasu do czasu krótkie, głuche kaszlnięcia.

Nakoniec! Chaim podnosi się ze stołka tak szybko, jakby nigdy nie miał swoich ruchów powolnych. W wielką płachtę składa ukończoną robotę, wciąga na siebie watowane palto, starą czapkę wciska na wierzch jarmułki i jest już gotów do wyjścia.

Lejzorek zawsze towarzyszy ojcu; Chaim wprawdzie nie daje mu nieść ciężkiego nieraz zawiniątka, ale dzwoniąc u drzwi, wchodząc na wschody, Lejzor weźmie je od ojca — nie wypada bowiem, aby krawiec sam odnosił robotę, a przytem i chłopcu kapnąć coś może za fatygę.

Idą szybko słabo oświetlonemi ulicami miasteczka. Śnieg skrzypi pod nogami, mróz tęgi ciśnie; dachy i ulice iskrzą się od brylantów śniegowych. A nad nimi, ponad szeregami domów zagłębiają się nieskończoności szafirów, pełne drżących, dużych gwiazd złotych. Chaim gwiazd nie widzi i chłodu nie czuje; on ma w sobie jedną myśl tylko: przybyć w porę. Natomiast oczy jego chłopca podnoszą się do góry, błądzą od gwiazdy do gwiazdy, i wyryty w nich wyraz apatyi powoli zamienia się w głęboką zadumę.

Nareszcie w jakiejś uliczce zatrzymali się u bramy. Chaim ostrożnie furtkę otwiera, aby, broń Boże, nie zbudzić psa, który zawsze czuje szczególniejszy apetyt do długich pół jego kapoty. Szybko, chyłkiem, jakby przychodzili w najgorszych zamiarach, skradają się wzdłuż płotu i dopadają wreszcie drzwi małej sionki kuchennej.

byli rozesłani w przepisany sposób do miejsc zapisania i robót — rozkazujemy:

1) Zesłanym do ciężkich robót, którzy przez swe dobre sprawowanie i pilność w pracy zasłużyli na względność, skrócić do $^2/_3$ karę, na jaką zostali skazani przez wyroki sądowe; skazanym zaś na karę ciężkich robót na czas nieograniczony zamienić tę karę na ciężkie roboty przez lat dwadzieścia.

2) Skazanych za występki, spełnione w nieletności, na ciężkie roboty przez czas krótszy od lat czterech przenieść do kategoryi zesłanych na osiedlenie.

3) Znajdującym się na osiedleniu, oraz takim, którzy mają być zaliczeni do kategoryi osiedleńców z pośród pracujących obecnie w ciężkich robotach, którzy w ciągu czterech lat sprawowali się bez zarzutu, zajmowali się pożyteczną pracą i nabyli prawa osiedlania się—skracać termin dziesięcioletni, po którego upływie wolno osiedleńcom zapisywać się do kategoryi włościan; takim zaś, którym upłynął ów termin dziesięcioletni, po którym, dzięki dobremu sprawowaniu się, już zostali zapisani do stanu włościańskiego—dozwalać wyboru miejsca zamieszkania z wyjątkiem stolic i gubernij stołecznych, z oddaniem ich pod pięcioletni dozór policyjny władz miejscowych i z zastrzeżeniem, iż zamiast pozbawienia wszelkich praw stanu, będą w myśl art. 43 kodeksu kar pozbawieni praw osobistych, oraz przysługujących im praw i przywilejów.

4) Skazanym na mieszkanie w Syberyi, jeżeli już upłynęło lat piętnaście od dnia wprowadzenia w wykonanie kary orzeczonej wyrokiem sądowym, dozwalać wyboru miejsca zamieszkania z wyjątkiem stolicach i guberniach stołecznych i bez przywrócenia praw przed wyrokiem im przysługujących.

5) Zesłanym, którzy skazani zostali za występki spełnione przed 15 (27) maja 1883 r. i którzy już korzystali na mocy Najwyższego manifestu, wydanego z powodu Świętej Naszej Koronacyi, z łaski Monarszej, w zakresie przewidzianym w ustępach 1, 3 i 4 niniejszego ukazu, udzielić jeszcze następujących ulg: a) skazanym na ciężkie roboty, a następnie na osiedlenie, termin robót skrócić o rok; b) skazanym na osiedlenie, którzy już nabyli prawa zapisania się do kategoryi włościan, dozwalać zapisywania się do kategoryi gmin miejskich na Syberyi, o ile na to gminy się zgodzą, wszelako bez prawa wyjazdu do Rosyi europejskiej dopóty, dopóki nie zyskają tego przywileju w kierunku, powyżej wspomnianym Manifestem przepisanym. Zesłanym na mieszkanie do gubernij syberyjskich po uwolnieniu ich od kary osiedlenia, w myśl powyżej wspomnianego Manifestu, dozwala się wydawać paszporty bez uwagi „z kategoryi zesłanych,“ oraz bez uwagi, iż byli z wyroku sądowego karani i bez liter czerwonych o pozbawieniu praw.

6) Skazanych za tułactwo na mieszkanie stałe w danej miejscowości, jeżeli wskażą właściwe swoje nazwisko i jeżeli to sąd miejscowy poświadczy — uwalniać od zesłania, wszelako z zastrzeżeniem, iż ci, którzy na powyższą karę byli skazani już po Naszej Świętej Koronacyi, nie mogą mieszkać w stolicach i guberniach stołecznych.

7) Stosowanie ulg wyłuszczonych powyżej w ustępach 1, 3 i 5 niniejszego ukazu, przysługuje ministrowi spraw wewnętrznych oraz generał-gubernatorom irkuckiemu i nadamurskiemu po zaświadczeniu, iż skazani w czasie przebywania na osiedleniu sprawowali się dobrze.“

BADANIA NAUKOWE.

SPOŁECZEŃSTWA ZWIERZĘCE.

Od pewnego czasu spotykamy coraz częściej różne badania nad psychologią i socyologią zwierząt. Niedawno np. ukazały się bardzo cenne w tym przedmiocie prace Lubbocka i Romanesa, zresztą poruszające dość pobieżnie sprawę zjawisk społecznych wśród świata zwierzęcego i zatrzymujące się głównie nad jego psychologią. Tymczasem socyologia zwierząt nie może poszczycić się takiemi rozprawami, chociaż ostatnie lata przyniosły mnóstwo drobnych monografij w tym przedmiocie. *Społeczeństwa zwierzęce* Espinasa pozostały dotąd najważniejszą próbą naukową uporządkowania zdobytego materyału. A jakkolwiek wciąż zjawiają się nowe prace na tem polu (np. w tegorocznym miesięczniku amerykańskim *Popular Science Monthly* naliczyliśmy ich dwie), lecz są to względnie małoznaczące przyczynki do socyologii zwierzęcej. Dodajmy, że często zakrawają one raczej na zbiór anegdotek, aniżeli na rozprawy naukowe. Dzieje się to nie dlatego, aby brakło chęci do odnośnych studyów, lecz ze względów technicznych. Zwierzęta domowe są wprost zdemoralizowanem ogniwem królestwa organicznego i nie dają należytych objaśnień; dzikie znowu nie poddają się tak łatwo badaniu. Świeżo ukazała się nowa książka z tej dziedziny — Pawła Girod *Społeczeństwa zwierząt* *.) Autor kolejno przebiega różne formy ich pożycia gromadnego, poczynając od wyższych i zwolna przechodząc do coraz niższych organizmów. Naprzód przesuwają się przed nami kręgowce. Widzimy „połączenia obojętne“ gromadzkie, jak ławice śledzi, klucze żórawi lub bocianów; później „związki wzajemne,“ oparte na pewnym sojuszu zaczepno-odpornym, np. osady bobrów, wreszcie „gromady trwałe,“ jakie spotykamy w stadach żubrów, gdzie rozwój uczuć gromadzkich jest bardzo silny i pojedyncza „rodzina“ rozpłynęła się w społeczeństwie. Uwydatniono też sprężyny, pod których wpływom ssaki połączyły się w gromadę lub w niej trzymają się. Dopiero w dalszym ciągu występują bezkręgowce i, rozumie się, mnóstwo miejsca zajmują osy, pszczoły, mrówki, termity, później zaś różne objawy pasorzytnictwa i komensualizmu. W końcu Girod przechodzi do społeczeństw-kolonij: polipów i in., w których jednostki wzajemne pomiędzy sobą są związane organicznie, i do połączeń rozmaitych *protozoa*. Podaliśmy zawartość książki, gdyż treść sama daje już niejakie pojęcie o sposobie traktowania przedmiotu. Lecz wartość pracy Giroda jest bardzo mała; przytem zawiera głównie materyał surowy. Z tego powodu bliżej nie będziemy się nad nią zatrzymywali; jedynie przytoczymy z niej fakty, dotyczące społeczeństw małpich, które prawdopodobnie najlepiej odtwarzają gromadzkie pierwociny ludzkości. O pożyciu społecznem mieszkanek Abisynii, małp *Cynocephalus hamadryas*, czytamy: „Rzadko spotykamy je w drobnych gromadkach, zwykle łączą się w większe. W stadzie znajduje się zawsze 12—15 samców dojrzałych. Samice bywają zazwyczaj dwa razy liczniejsze, reszta zaś gromady składa się z małpiątek mniej lub więcej młodych.“ Solidarność, panująca pomiędzy członkami takiej trzody, jest nadzwyczaj silna. Kiedy dwu lub trzem nie udaje się poruszyć jakiegoś wielkiego kamienia, wtedy w większej liczbie podejmują próbę... Zanim wedrą się do plantacyi, wysyłają uprzednio szpiegów i dopiero kiedy ci wywiadywacze dadzą sygnał odpowiedni, cała banda wtarga. Tworzy ona długi łańcuch, który ciągnie się od ogrodu do sąsiedniej góry; małpy w ogrodzie zrywają płody i rzucają je kolejno jedna drugiej w łańcuchu aż do tego miejsca, gdzie później się zejdą. Ażeby

*) Paul Girod. *Les sociétés chez les animaux* w *Bibliothèque scientifique contemporaine*.

W sam raz, bo oto z za węgła słyszeć się daje jedno, drugie szczeknięcie tak basowe, że nie widząc. odgadnąć można, co to za olbrzymi potwór być musi. Chaim zrazu cicho, potem coraz natarczywiej dobija się do drzwi, ale i szczekanie staje się coraz groźniejsze, a wreszcie z za domu wysuwa się olbrzymia, kudłata głowa potwora.

— Tate — odzywa się Lejzor, szeroko otwierając przerażone oczy — czemu ty od ulicy nie zadzwonił?

— Aj, Lejzorke, czy ty nie wiesz, że panowie się gniewają, kiedy im żydzi od ulicy dzwonią? Aj, aj, jaki u niego głos gruby! Milor, Milor, panie Milorka, to ja, pański przyjaciel!

Ale uprzejmy, błagający niemal ton głosu irytuje coraz bardziej potwora. Przystępuje tak blizko, że wyraźnie można widzieć jego białe, potężne zęby i groźnie zjeżoną szerść na karku. Szczekanie przechodzi w ujadanie, i to właśnie ratuje wylękłych do ostatka żydów. Z głośnem skrzypnięciem otwierają się drzwi od kuchni i Chaim, pchnąwszy przed sobą syna, wpada za zbawczy próg.

— Że też przyszliście nakoniec! — zawołała kucharka — szczęście wasze, bo pani okrutnie jest zła. Nogi wytrzeć! Dopiero co uprzątnęłam; jeszcze brakowało, aby mi żydy wszystko błockiem zanieśli!

— Nu, niema o co się gniewać — łagodnie odzywa się Chaim, myśląc sobie, że w porównaniu z gniewem brytana ten jeszcze jest bardzo znośny; lecz jednocześnie uczuwa pewien niepokój w przewidywaniu trzeciej, bodaj z tych wszystkich najgroźniejszej burzy. Jakoż nie myli się. Zaledwie zamknęły się drzwi za kucharką, zaledwie mieli dość czasu, aby otrzeć nogi ze śniegu, gdy na progu stanęła pani aptekarzowa. Jedno na nią spojrzenie dało znać Chaimowi o groźnem tej niewiasty nastroju.

— Myślałam, że chyba nigdy nie zjawicie się. Skaranie boskie z takimi krawcami! Mało to dnia było? Trzeba koniecznie doczekać się nocy, aby ludziom spokoju nie dawać.

— Dużo było roboty — wtrącił półgłosem Chaim.

— Dużo roboty! słyszeliście go? A nie trzymaliście to jej blizko miesiąc? Partactwo a nie robota. Zobaczymy jeszcze, czy to da się włożyć.

— Fajno wyszła sukienka — ozwał się Chaim tak uprzejmie, jakby odpowiadał na dobór najmilszych komplementów.

— Nie zachwalaj mnie tylko, bo cierpieć tego nie mogę. Zawsze wtedy chwalicie, gdy najgorzej jest uszyte, wam się już zdaje, że ludzie sami oczów nie mają. Pokaż no.

— Chaim, milcząc, rozwinął pakunek i ująwszy suknię w dwa palce, tryumfalnie podniósł ją do góry.

Oczy aptekarzowej zrazu zabłysły zadowoleniem; lecz prędko opanowała wzruszenie, wzięła suknię z rąk Chaima i do gruntu opatrywać ją zaczęła, ostrej krytyce poddając każdy szew, każde zagięcie kroju.

— Partactwo i tyle! zakończyła—wyczerpawszy cały zapas słów oburzenia i unosząc suknię, wyszła do pokoju. Chaim wielce zafrasowany, wśliznął się za nią na palcach.

Przykra to jest rzecz widzieć zawiedzione swe nadzieje; tem przykrzejsza, gdy one opierały się na żmudnej i długiej pracy, z gorliwością podjętej. Aptekarzowa nazwała go niedbałym, lekceważącym swoich pracodawców robotnikiem, i nie ona jedna: zarzut ten spotykał go często. A jednak on sam wie tylko, ile szczerej chęci było w dogodzeniu im, ile sumiennej pracy w wykonaniu. Czem się to dzieje, że nigdy odrazu nikogo zadowolić nie może?

uniknąć zemsty właściciela, stawiają czaty, które przy najmniejszem podejrzeniu wydają krzyk ostrzegawczy. W tym razie, jeśli są atakowane, bronią się rzucaniem kamieni. Podobnie śród innych małp tworzą się w gromady bardzo liczne, złożone z wielu dojrzałych samców i samic a posiadające na czele jakiegoś doświadczonego, starego samca. Naturalnie największe znaczenie dla wyświetlenia rodowodów społeczeństwa ludzkiego posiadałyby spostrzeżenia w tej mierze nad małpami człekokształtnemi, lecz wprost zbywa na poważniejszych wskazówkach. O szympansach Girod powiada, że „gromady te z ich niezdarnemi osadami, hierarchią i rozwiniętą organizacyą przedstawiają w istocie rzeczy jakby szczególne ludy, które możemy porównywać z plemionami murzyńskiemi, zamieszkującemi te same knieje leśne,“ lecz bliższych szczegółów nie podaje. Nadto małpy człekokształtne znajdują się dzisiaj w tem samem położeniu, co np. żubry w puszczy Białowiezkiej; człowiek, karczując ustronia, uniemożliwił im swobodny byt społeczny zwierząt i dawne gromady rozbił na drobne rodziny, złożone z rodziców i dzieci jeszcze nie wychowywanych.

Natomiast, korzystając ze sposobności, jaką książka Giroda nam dostarczyła, pomówimy już niezależnie od niej o kilku zagadnieniach socyologicznych, które nasuwają się przy rozpatrywaniu społeczeństw zwierzęcych. Zauważymy, że jest to dziedzina, którą różni „spencerzyści“ wyzyskują w niemiłosiernie komiczny sposób. Trzeba np. im dowieść, że altruizm jest pierwszorzędnem spoidłem społecznem, a już nawet ameby nie dają spokoju. Organizm ten jednokomórkowy, przyjmując pokarm, pęcznieje, a doszedłszy do pewnych rozmiarów rozpołowia się, tak iż zamiast jednego otrzymujemy dwa osobniki. Otóż dojrzano w tem dowód najwyższego altruizmu, większego, niż u św. Marcina, który ubogiemu oddał połowę swego płaszcza: ameba bowiem sama siebie składa w ofierze na ołtarzu poświęcenia! I wobec takiego faktu są jeszcze czerstwe natury, które usiłują spługawić znaczenie altruizmu... Szkoda, że w oddawaniu przez organizm różnych wydzielin nie dostrzeżono również czynu altruistycznego. Albo zwróćmy się do teoretyków anarchizmu. Nieszczęśliwe polipy, ascydye i inne jestestwa występują na scenę, aby zaświadczyć, a raczej zaprotestować przeciw istniejącym porządkom społecznym... Mniejsza jednak o te niby naukowe „syntezy“ i „prawdy.“ Śmiało możemy je ominąć milczeniem. Musimy jednak zaznaczyć, że studya nad zwierzętami nastręczają mnóstwo wdzięcznych wskazówek, byleby tylko widzieć to, co rzeczywiście istnieje, i nie zapuszczać się w snucie fantasmagoryj. Weźmy chociażby mrówki. Powszechnie wiadomo, że niektóre gatunki trudnią się istotną „hodowlą bydła“ — pielęgnowaniem niektórych owadów dla podbierania wydzielanych przez nie soków; że inne zajmują się rolnictwem — dokoła swego gniazda oczyszczają starannie grunt z pod jednych roślin, a zostawiają inne, z których ziarna znoszą do swoich spichlerzy, jako zapasy; że wreszcie są mrówki, trzymające niewolników lub przedstawiające kilka rozmaitych organicznie postaci, z których każda spełnia szczególną czynność w społeczeństwie. Mniej są już znane zamiary tych społeczeństw, a tymczasem bywają one tak znaczne, że niektóre mrowiska zawierają do 400 tysięcy członków. I oto przed badaczem staje ciekawe zagadnienie socyologiczne, mianowicie, jak odbywała się i pod wpływem jakich czynników ewolucya mrowiska? Pytanie to tembardziej wabi uczonego, jeśli zważymy, że różne mrowiska tego samego gatunku znajdują się niekiedy na bardzo odmiennych szczeblach rozwoju. Forel znajdował pod kamieniem kilkanaście samic, lecz jeszcze nie zwyrodniałych, a zatem zdolnych do pracy, żyjących w stosunku do siebie nader luźnym. Słowem, jeśli użyjemy słownictwa Giroda, mamy tutaj do czynienia z najzupełniej „przypadkowem połączeniem.“ W innych razach ten sam gatunek wydał olbrzymie mrowiska z silnie rozwiniętą „duszą społeczną“ (t. j. wzajemną solidarnością), z bardzo znacznym podziałem pracy i posuniętym przemysłem. Mamy więc obok siebie parę „dziką“ i „cywilizowaną,“ a dalsze badania wykryłyby zapewne szereg ogniw pośrednich. Jak więc widzimy, jest wielka możliwość odcyfrowania dziejów mrowiska. Podobne pytanie możemy zadać sobie względem społeczeństw u ssaków. Zatrzymajmy się nad ową różnicą, która rzuca się w oczy przy rozpatrywaniu pożycia gromadzkiego z jednej strony u drapieżców (np. lwów, tygrysów), z drugiej u zwierząt roślinożerczych. Pierwsze żyją monogamicznemi rodzinami, wrogo usposobionemi względem siebie; młode, odkąd są zdolne utrzymywać się własnemi siłami, porzucają rodziców, a łącząc się znowu w pary monogamiczne, zaczynają prowadzić taki sam odosobniony tryb życia. Tymczasem wręcz przeciwne zjawisko spostrzegamy np. u żubrów. Gromady składają się z mnóstwa okazów. połączonych węzłem wzajemnej solidarności; stosunki małżeńskie tracą swoją monogamiczną wyrazistość i rozpływają się w bezładnem obcowaniu; ukazuje się pewnego rodzaju podział pracy pomiędzy osobnikami, który powołuje do życia czaty i prowodyrów. Niepodobna chyba przedstawić sobie większego przeciwieństwa. Dodajmy nadto, że ten kontrast daje się spostrzedz i u ptaków, przynajmniej drapieżne mocno przypominają czworonożnych drapieżców, a samotne gniazda sępów dosłownie odpowiadają legowiskom odludków rodu tygrysiego. Zgóry można mniemać, że podobieństwo to nie jest przypadkowe, lecz posiada głębsze przyczyny.

Słowem, widzimy, iż wobec różnych objawów społecznych świata zwierzęcego możemy podnieść pytanie co do rodowodu i przyczyn. Nadto sama ewolucya społeczna występuje tutaj nader uproszczona. Jeżeli rozpatrujemy się w świecie ludzkim, istnienie świadomości i w ciągu dalszym rozwiniętej celowości mąci bezustannie sprawę. „Idea“ wypływa wciąż i gmatwa jasne zrozumienie wzajemnego oddziaływania różnych czynników. Tymczasem owa „idea,“ pokutująca w niektórych mózgach i tłukąca się jak Marek po piekle, zanika jako czynnik w społeczeństwach zwierzęcych. Chyba nie będziemy podejrzywali dzikiej mrówki, iż dlatego wyłoniła mrowisko, złożone z paru setek tysięcy głów, oparte na podziale pracy itd., ponieważ powzięła odpowiednie „ideę“! Możemy jedynie przypuszczać, iż popychana celami indywidualnymi lub potrzebami codziennemi gromady, zbierała zapasy, te zaś wywoływały w mrowisku odpowiednie skutki społeczne i zmieniały duszę pojedynczej mrówki, stwarzając w niej nowe żądze i potrzeby. Również wątpię, aby jakiś obrońca szczytności idei dowodził, że żubry żyją w bezładnych a solidarnych trzodach, koty zaś w odludnych monogamicznych parach, ponieważ miały odpowiednią „ideę“ ustrojów społecznych. Wyjaśnienienie jest proste. Żubry naprzód mogą żyć gromadzko, ponieważ warunki pożywienia roślinnego umożliwiają im to; co więcej, muszą one żyć w ten sposób, bo tylko solidarnością i sojuszem trzymają się przeciwko mięsożernym napastnikom. Może istnieją wśród nich osobniki bez popędów solidarnych, które oddzielają się od trzody i żyją w pojedynkę, lecz swoją antispołeczność przypłacają śmiercią i niepozostawieniem odpowiedniego potomstwa. Same uczucia żubrów są tylko odzwierciedleniem konieczności życiowej! Przypuśćmy jednakże, że nie-

---

Z niepokojem wyczekiwał rezultatu przymierzania. Niestety, i tym razem aptekarzowa wynalazła tyle niedokładności, takie rażące rozminięcie się z wszelką symetryą, że o przyjęciu roboty mowy nawet być nie mogło. Długa przeszła godzina, zanim przy wspólnej naradzie zadecydowano, co i jak zmienić należy. W toku rozpraw Chaim musiał wysłuchać mnóstwa utyskiwań i wyrzutów, które przyjmował w milczeniu z tem przeświadczeniem, że im bardziej są sprawiedliwe, tem boleśniejsze. Z wielkim westchnieniem ulgi ujrzał nakoniec, jak aptekarzowa zdjęła suknię, a oddając mu ją, zastrzegła, aby nieodbicie na jutro rano była gotowa. Nareszcie koniec będzie wszystkiemu.

O, nie koniec! Zapomniał Chaim, czy może spodziewał się, że ona zapomni o jednym, ostatnim szczególe.

Już zabrał robotę i gotował się do wyjścia, zapewniając o swej na jutro akuratności, gdy nagle zabrzmiało głośne a nieuniknione nigdy pytanie:

— A kawałki?

Odnosiło się to do owych skrawków materyi, które mu zabrała żona, które mają tak pięknie przystrajać jego małą Ryfkę na ogólnej prezentacyi bulwarowej w dzień szabasu.

Lecz mógłże to jej powiedzieć?

— Nu, jakie tam kawałki; zdaje się nawet niema — odzywa się nieśmiało.

— Niema? — krzyknęła desperacko pani aptekarzowa.—Tyle łokci materyi! Agatko, Agatko, czy słyszysz? Nie przyniósł mi kawałków! Tożto czyste szachrajstwo! A, łotr! a, złodziej! Myślisz może, że ja pozwolę tak się oszukiwać?

I tak dalej, i tak dalej. Na Chaima spływały takie potoki wymówek, przezwisk, obelg, że nawet w najbardziej stulone uszy spora ich część dostać się musiała.

Zrobiło mu się niewymownie przykro.

— Biegaj do domu, weź od matki parę tych szmat — szepnął półgłosem do syna.

— Nie odda — odparł ten równie cicho, ale tak przekonywająco, że Chaim odrazu zaniechał zamiaru. Co miał począć? Musiał wymyślić jakieś nadzwyczajne kombinacye, jakieś kłamstwa, któreby choć w części honor jego uratowały a zarazem uspokoiły rozdrażnioną kobietę. Trudno mu to szło; nie lubił kłamać, nie zgadzało się to z jego poważną naturą, ani nawet z sumieniem. Tłomaczenie się więc swoje co najprędzej zakończył, dodając obietnicę, że szmat tych w domu poszuka i jeśli się znajdą, odniesie jutro z robotą.

Opodal stojący Lejzorek był niemym świadkiem tej sceny. Po bladej jego twarzy żaden wyraz żywszy nie przemknął; oczy z pod spuszczonych powiek jak zawsze apatycznie spoglądały; patrząc nań, zdawaćby się mogło, że myśl jego usnęła albo daleko stąd uleciała. Nie tak jednak było. Słyszał i rozumiał wszystko. Słyszał i rozumiał, że jego ojca robią oszustem i złodziejem, że ojciec ten siwizną i zmarszczkami pokryty przed rozgniewaną i pomiatającą nim kobietą wysila się na kłamstwa. Wprawdzie w małej a cichej duszy Lejzora oddawna tkwi i szeroko się rozrasta pogarda dla wszystkiego, co żydostwem nie jest; wprawdzie od lat najmłodszych wie, że najbardziej upokarzające słowa „goja“ są wiatrem po wierzchołkach lasu wiejącym, który do głębin nie sięga nigdy; wie to — a jednak po jego chorem, zmęczonem ciele dreszcze jakieś przechodzą i chciałby tego wszystkiego nie słyszeć i nie rozumieć. Nie chciałby nigdy być ani tak poniżanym, ani tak zmuszonym do kłamstwa, tembardziej nie życzy sobie, aby to trafiało się jego staremu, spracowanemu ojcu. Rozumie przytem, że wszystkie te słowa uniesionej gniewem kobiety wraz z całem „przeklętem żydostwem“ zagarniają i jego, i nad jego również zmęczoną duszą kładą się ciężką, cie-

przyjaciele, przeciwko którym żubr musiał wyłonić solidarne pożycie trzodowe, przestali istnieć. Co wtedy się stanie? Osobniki nieuspołecznione będą miały byt zapewniony i zdołają przekazać cechy swoje dalszym potomkom, z drugiej strony uczucia społeczne, które nikomu nie przynoszą szkody, równie będą istniały i obok dzisiejszych trzód ujrzymy stadła monogamiczne. W ten sposób studya nad społeczeństwami zwierzęcemi, usuwając świadomą celowość społeczno-ideową, pozwalają wybornie zbadać wzajemne oddziaływanie w ewolucyi społecznej warunków zewnętrznych z jednej strony, organiczno-uczuciowych z drugiej. Pierwszym przypada rola, że tak rzekniemy, rewolucyjna, gdyż uczucia zawsze się przystosowują do warunków zewnętrznych. Czy jednak pierwsze lub też drugie były na początku, jest to zagadnienie, które oddajemy do rozstrzygania scholastykom socyologii; rzecz najważniejsza, jakie jest ich wzajemne zachowanie się, oraz że niepodobna tu mówić o celowości ideowo-społecznej. Mając tym sposobem uproszczone zadanie, możemy przejść do ludzkości. Ewolucya społeczna doznaje skomplikowania po pierwsze dzięki ukazaniu się w społeczeństwie potężnej atmosfery rzeczowej (zasobów bogactwa we wszelkiej postaci), oraz powtóre dzięki wystąpieniu świadomości, zakładającej sobie cele społeczne. Naturalnie, nie chcemy bynajmniej zmniejszać znaczenia tej świadomości i oddziaływania idei na umysły. Co więcej, stanowczo twierdzimy, iż idea, z chwilą gdy ogarnie mózgami ludzkimi, staje się pierwszorzędną potęgą dziejową; nadto że w obecnej chwili świadomość rozwoju dalszego, wysnuta z analizy nad społeczeństwem, umożliwia zupełnie celowy wpływ człowieka na kształtowanie się dalsze życia społecznego. Jednak musimy zaznaczyć, iż sama „idea" jest objawem wtórnym, sformułowaniem tego, czego pierwiastki ukazały się już w życiu. A ponieważ samo życie wciąż wyłania nowe wzory i nowe pierwiastki, „idea" wciąż pozostaje w tyle lub przybiera szczególną postawę, jakby mówiła rozwojowi społecznemu: stań i nie ruszaj się dalej. W ten sposób, jeśli przypatrzymy się dotychczasowej ewolucyi ludzkiej, pierwiastkiem pierwotnym, podobnie jak i u zwierząt, są stosunki rzeczowo-przedmiotowe.

k—i.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

S. M. Roguski. *Zagony*, powieść. 1891.

Autor zamierzył w powieści swej odzwierciedlić, cząstkę wielkiego obrazu walki zaborczej, jaką pod hasłem *Drang nach Osten* prowadzą u nas najeźdcy germańscy. Wskazuje on dwie kategorye tych ostatnich. Do pierwszej należą biedacy, pasierbowie *Vaterlandu*, którzy syci macoszych względów Germanii, do nas przybywają złaknieni chleba; do drugiej — drapieżne jastrzębie pruskie, obrosłe piórami kapitału i wypatrujące u nas grubej zdobyczy. Pierwsi szukają przedewszystkiem pracy, drudzy — zysku, ci dorabiają się majątku, tamci podwajają swe zasoby. Jedni nie uważają za obowiązek podsycania w sobie nienawiści i wzgardy dla tych, pośród których osiedli i znaleźli dobrobyt, przeciwnie, zdolni są do wdzięczności, która sprawia, że stają się niekiedy sprzymierzeńcami ludności miejscowej, a w pokoleniu następnem już zupełnie z nią się asymilują. W drugich nurtuje zawsze głucha nienawiść do swych ofiar, po nasyceniu głodu czują oni jeszcze rozkosz, zagłębiając szpony w żywem ciele.

Herman Wunder przybył ze Szląska austryackiego z tobołkiem na plecach. U nas mu się poszczęściło i w miejscowości, gdzie osiadł, odnalazł węgiel i rudę żelazną. Rozpoczął eksploatacyę do spółki z obywatelem Rolbieckim, wiodło im się dobrze, przyszła jednak chwila, kiedy trzeba było oprzeć przedsiębiorstwo na wielkim kapitale; gdy go zaś w kraju znaleźć nie mogli, wezwali do spółki finansistę pruskiego, Stannera. Syn jego, który po śmierci ojca objął zarząd przedsiębiorstwa, jest to typowy *Raubvogel*, niezmiernie jednak w działaniu ostrożny i nigdy niezstępujący z gruntu legalnego.

Stanner prowadzi eksploatacyę kopalni sposobem rabunkowym, a skutek tego ma być taki, iż po latach kilkunastu zamknięty zostanie przystęp do najbogatszych pokładów na gruntach spółki. Gdy ów przewidywany termin był już bliski, Stanner na rzecz spółki nabył sąsiednie grunta, wyrobił koncesyę i rozpoczął odkrywki. Kosztowało to wiele, a zyski z początku były mierne; okoliczność ta wystarczyła, aby odstręczyć spólnika polaka. W gruncie rzeczy nie widzimy ze strony Stannera jakichś skomplikowanych intryg w celu usunięcia Rolbieckiego od udziału w przedsiębiorstwie nowej kopalni. Co najwyżej jako dobry psycholog spekulował na naturze szlachcica: gdy ten wziął z góry kilkadziesiąt tysięcy na rachunek dywidendy, on sprowadził sztucznie jej obniżenie w nadziei, że szlachcic zadłużony nie zechce należeć do nowych nakładów, ponieważ nie potrafi obrachować przyszłych zysków. Tak się też stało. Rolbiecki pozostał przy starej kopalni, Stanner z przewidującym Wundrem objęli nową. I co jest wielce zabawne, choć trąci przesadą, Rolbiecki święci rzekome zwycięztwo nad Stannerem, sądzi bowiem, że ten ostatni, dyplomatycznie przezeń do muru przyparty, był zmuszony wziąć na siebie koncesyę i nakłady.

Rolbiecki należy do tego gatunku ludzi, którym nie wystarcza jedna brzytew do zarznięcia się. Naprzód widoki zysków zamienił na widoki strat, a dalej, z naiwnością człowieka, który obarczony mnóstwem potrzeb sądzi, że pieniądze zewsząd powinny mu płynąć, połknął nastawioną mu przez jakiegoś spekulanta giełdowego przynętę. O tem, że tkwił w niej zabójczy haczyk, przekonał się wówczas dopiero, gdy po nieudałej spekulacyi spólnik umknął za granicę, wyłudziwszy odeń resztę kapitału. Cała nadzieja ratunku dla Rolbieckiego tkwiła teraz w udziałach starej kopalni, łuski z oczów jednak mu opadły i dowiedział się po niewczasie, że udziały te straciły wiele na wartości, a kapitał został w nich uwięziony. Na dobitkę, zjeżdża komisya techniczna do starej kopalni, prawdopodobnie przez Stannera nasłana i poleca zamknąć ją do czasu wprowadzenia zmian, zaleconych przez przepisy rządowe.

Miotającemu się w rozpaczy niedołędze przybywa z pomocą młody Wunder, zakochany w jego córce. Obejmuje zarząd starej kopalni i staje do walki z Stannerem. Są to już przeciwnicy równych sił, szczęście jednak sprzyja jastrzębiom... Młody Wunder ustępuje z placu, zabity w kopalni skutkiem oberwania się klatki. Jest to naturalnie wypadek, autor jednak i przy tej sposobności wskazuje na szpony jastrzębia, posądzając Stannera, że wiedząc o niepewnym stanie klatek, nie ostrzegł nowego dyrektora. Wogóle autor sprowadza ową walkę do rozmiarów... melodramatu, ten rys jednak wiernie pochwycił, choć słabo uwydatnił, że żaden uczciwy zapaśnik w walce z Stannerami nie może mieć szans równych, ci bowiem przystępują do niej wolni od pęt... etyki.

---

mną chmurą. Jakże odetchnął głęboko, gdy nareszcie cała ta sprawa jakoś ukończona została. Kiedy nakoniec zamknęły się za nimi drzwi, kiedy chłód i cienie nocy ujęły go w swoje majestatycznie spokojne objęcia i znowu ujrzał nad sobą dalekie, tajemnicze gwiazdy, zdało mu się, że budzi się nagle z brzydkiego snu ziemi i że to oczy jego ducha widzą już świat zaziemski; niech tylko gwiazd tych doleci, ujrzy złote skrzydła serafinów z pieśnią ku Panu lecących. W myślach pogrążony szedł machinalnie za ojcem, i z całej tej wrzawy, co go tak przed chwilą męczyła, został mu tylko jakiś bezwiedny ból na dnie duszy zaległy, jakaś gorycz, nad którą nie zastanawiał się, a która po za promieniami jego samowiedzy kładła swe piętno na szlakach jego myśli. Te złote gwiazdy, myślał sobie, to pewno takie wielkie jasne pochodnie, które Adonaj zapala na granicach naszego świata; niech świecą ludziom i opowiadają o chwale, która po drugiej ich stronie panuje. Jak tam pięknie być musi w tym przybytku jasności i tonów, gdzie przed płomiennym tronem Jehowy przelatują pułki aniołów, nucąc hymn uroczysty, śmigając złotemi skrzydłami! Jak tam te stare patryarchy i króle siedzą sobie poważnie w spokoju i majestacie, zapatrzeni w oblicze swojego Boga! Czy oni wiedzą, że tu na ziemi zawsze tak samo czarno, zimno i smutno! Gdyby Lejzorek mógł teraz przedostać się za te świetlane granice i stanąć w obecności proroków, to niechciałby latać z aniołami, a upadłszy na twarz przed nimi, jęczał i szlochał. Możeby wtedy usłyszał go który, możeby twarz swą zwrócił ku niemu i spytał: czego tak się skarży.

Obudził go z zamyślenia głos ojca.

Chłopak oczy zawieszone na gwiazdach przeniósł na starego.

— Tate — ozwał się, nie czekając, co mu ten powie, a głos jego był żywszy i brzmiał głębokimi tonami — będziemy szyć dzisiaj?

— Nie, ty kładź się, ja sam przerobię.

— Nie skończysz i tamta znowu będzie nas łajać.

— Niech ona zginie — mruknął żyd półgłosem.

— Nie mów tak, tate; kto da nam robotę, kiedy oni wszyscy poginą?..

Chaim zamilkł przywykły poważać głębokie sentencye syna.

— Czy ona nie ci nie dała?

— A któż da, skoro robota nie wykończona? Choćbyś cały miesiąc nad nią przesiedział, jeśli braknie jednego ukłucia igłą, to tak jakbyś nic nie zrobił, nic nie dostaniesz.

— A dużo jest do przerobienia?

— Niby to mało, ale jak pruć trzeba, a przykrajać, a szyć znowu, to się nazbiera tego dosyć.

— Będziemy szyć dziś jeszcze — cicho, bardziej do siebie powiedział Lejzorek.

Potem widać wątpliwość jakaś przyszła mu do głowy, bo z pewnym niepokojem spytał znowu.

— A masz pieniądze?

Chaim przywykł już i do tego, że syn podzielał z nim wszystkie troski życiowe.

— Było dziś dwadzieścia groszy; matka na mleko wzięła cztery, a sześć na kartofle, a pięć na drzewo, a dwa na sól, a za resztę mydła kupiła — ciągnął śpiewnie tchem jednym, podczas gdy Lejzor robił w myśli rachunek.

— Będziemy szyć dziś jeszcze — powiedział głośniej i zupełnie stanowczo. Przyśpieszył kroku, nie patrzył już na gwiazdy i z niespokojnego blasku jego oka można zgadnąć było, że nie marzenie, ale despotyczna dłoń rzeczywistości mdlejącą jego duszę rozbudza do życia.

(D. c. n.).

W. Dal.

Ponieważ jednak w kraju, gdzie policya jest dobrze zorganizowana, rozbójnik staje się mniej strasznym, więc też i Stannerowie są głównie pogromcami słabych. Siła ich jest miarą słabości przeciwnika. Zapytany, czy nie poczuwa się do jakich obowiązków, Stanner odpowiada: „Za co? Tacy jak Wunder może mają jakie obowiązki, ale ja... Ojciec mój przyszedł z pieniędzmi i głową, kiedy wy już założyliście ręce, nie mieliście pieniędzy i potraciliście głowy. Ja włożyłem w to wiedzę i pracę. Pracę wytrwałą, ciężką, nieustającą ani na chwilę, podczas gdy syn pański wymyślał figury do kotyliona i udawał lorda na Mokotowskiem polu... My nie idziemy teraz szukać chleba, jak to dawniej bywało. Idziemy walczyć i zwyciężać, a nie zaprzęgać się w jarzmo i wydeptywać Wam ścieżki." Stannerowie mają zapewnione zwycięztwo dopóki przeciwnikami ich są Rolbieccy. Nawet jednak silniejsi od tych ostatnich nie powinni zapominać, że dla walki z pruskim jastrzębiem nie dość jest rozwinąć równą mu energię i wiedzę, ale nadto potrzeba przezorności niezmiernej, aby nie rozbić się o jaką straszną, a niby nieumyślnie zastawioną przeszkodę.

Wątek powieści nie przestał jeszcze być na czasie i to stanowi zaletę jej główną. Po za tem utwór nad skalę mierności nie sięga, wielu rzeczy nie dopowiada i wielu sprężyn zjawiska, jakie dotyka, nie ujawnia. Spostrzeżenia swe autor zbierał z powierzchni życia i ujął je w powieściowy szablon, nader ciasny, pospolity i zużyty.

F. B.

LITERATURA FRANCUSKA.

Pieniądz Emila Zoli.

Chociaż określenie krytyki jako estopsycho-socyologii zdolne jest przemienić z podziwu w słupy naszych chybionych commis-voyagerów, którzy natomiast uważają się za wcale udatnych krytyków, dla tego tylko, że posiadają dar paplania co ślina do ust przyniesie o t. zw. estetyce — ośmielę się twierdzić, iż klucza do zrozumienia literatury szukać trzeba głównie w socyologii i psychologii (albo w ekonomii politycznej i fizyologii, jako podstawach nauk powyższych). Takiego przynajmniej zdania jest cała szkoła krytyki naukowej z H. Tainem i M. Posnettem na czele. Estetyczny zaś rozbiór przedstawia jeszcze dotychczas największe trudności i nie może być poważnie traktowany, gdyż nie wykryto do dziś żadnych stałych związków pomiędzy wrażeniem a środkami służącymi do jego wywołania *). Nie wymagajmy wszakże od małomiejskich faktorków, aby rozumieli kwestye, które stanowczo przekraczają zakres ich inteligencyi i przejdźmy do rzeczy. Nawet pisarze, którzy w zupełności wystrzegają się wszelkich tendencyj i ideałów, mając niby na celu tylko służenie czystej sztuce, są nieświadomie wyrazicielami pewnych prądów społecznych, należą do pewnego koła, grupy, klasy, zostawiających na ich mózgu i działalności ślady niezatarte. Autor i jego utwory są dla nauki — podług szczęśliwego porównania użytego przez Taine'a — takiem samem zjawiskiem, jak pszczoła i miód, które zrozumiane być mogą jedynie w zależności od całego ula. Dla należytej i wszechstronnej oceny zjawiska literackiego krytyka nie może pominąć form społecznych, z któremi wiążą je najściślejsze węzły. Zobaczmy więc, na jakim gruncie społecznym wyrósł Zola, a raczej uprawiany przezeń kierunek naturalizmu. W naszych czasach wrażenia estetyczne stanowią dziedzinę, dostępną prawie wyłącznie dla klas posiadających. Zola wystąpił na arenę literacką w chwili, gdy burżuazya znajdowała się u szczytu swego panowania, gdy już dzierżyła berło rządów w swej dłoni i uważała istniejący porządek we wszystkich dziedzinach życia za jedynie możliwy i najlepszy. Przy takich warunkach wszelkie ideały i tendencye muszą zaniknąć. Rozkoszując się chwilą obecną, burżuazya francuska wymagała od swych artystów, aby jej chwilę tę ze ścisłością fotograficzną w lot chwytali. Pisarz, któryby wystąpił z jakimś kierunkiem lub tendencyą, nie znalazłby czytelników. Wszelkiego rodzaju idealiści i romantycy musieli ustąpić z pola, a literatura, przystosowując się do wymagań swych... spożywców, stała się naturalistyczną. Charakter jednak utworów pewnego autora określa się nietylko wymaganiami tej warstwy, dla której są pisane, ale zarazem położeniem i poglądami tej klasy, z którą go wiąże wspólność pochodzenia i pokrewieństwo duchowe. Zola pochodzi z pośród wyzyskiwanych i wydziedziczonych, przez długie lata sam także cierpiał głód i zimno, to też malując następnie przedmiotowo istniejące stosunki, zapatrywał się na nie z punktu widzenia masy, z którą go sympatye wiązały, zapatrywał się krytycznie. Dodajmy nareszcie, że niezadowolenie i niewyraźna krytyka, jaką klasy upośledzone zastosowują do istniejących porządków, zostały systematycznie, naukowo rozwinięte przez cały szereg pierwszorzędnych myślicieli i że Zola jest dokładnie obznajmiony z ich dziełami. Oto suma warunków, które koniecznie trzeba mieć na uwadze, chcąc należycie zrozumieć i ocenić tego pisarza i jego utwory.

Stosunek Zoli do wszystkich zjawisk życia ludzkiego jest taki sam, jaki względem nich przybiera demokracya społeczna, czy to gdy nam kreśli położenie rozmaitych klas i ich walki, czy też gdy rozbiera oddzielne kwestye społeczne. Jego krytyka rodziny mieszczańskiej (*Pot-Bouille*) nie pozostawia nic do życzenia; jego obraz walki kapitału z pracą (*Germinal*) stanowi najlepszą stanowczo rzecz, jaką literatura europejska w tej kwestyi posiada. Nie pozostawił na uboczu żadnej dziedziny życia społecznego: zanikanie i rozkład warstw wstecznych, arystokracyi (*Nana*) lub chłopstwa (*La Terre*), demoralizujący wpływ, który panowanie mieszczaństwa wywiera na politykę (*Son. Exc. E. Rougon*), religię (*La conquête de Plassans*), na klasy robotnicze (*L'assomoir*) itd. — wszystko to przedstawione zostało z głęboką znajomością rzeczy i może śmiało pretendować do zgodności z wynikami krytyki naukowo-społecznej. Zarzucają Zoli, iż na palecie swej ma tylko barwy ciemne i że zbytecznie je zgęszcza w swych obrazach. Mógłby on śmiało odpowiedzieć wraz z Marxem, któremu także zarzucono cynizm w malowaniu stosunków społecznych, iż cynizm ten znajduje się w życiu samem, a jeżeli Zola niewątpliwie posiada usposobienie pesymistyczne, to niedaleko trzeba szukać, aby znaleźć dlań odpowiedni pokarm. Nam się wydaje, iż wobec tego olbrzymiego błota, jakie przedstawia społeczeństwo mieszczańskie, najciemniejsze obrazy francuskiego romansopisarza są jeszcze wcale pogodną oazą *). „Ależ Zola ukazuje nam tylko zwierzęcą stronę człowieka, pomijając zupełnie jego zalety, cnoty i przejawy szlachetnego idealizmu!" — słyszę w odpowiedzi. Szlachetny idealizm — *ah, parlez moi de ça!* W społeczeństwie, które ze swych tablic wymazało wszystkie przykazania i ma tylko jeden artykuł wiary: „człowiek powinien być dla człowieka wilkiem," które w każdem uczuciu wyryło błotniste odmęty interesu, które przytłumiło lub skaziło wszystkie promienie światła i sprawiedliwości — „szlachetny idealizm" zajął miejsce śród innych towarów i tym sposobem miłość wylała się w formę „mariage'u," nauka i sztuka znalazły się na utrzymaniu mecenasów, a nawet poświęcenie wzbudza tylko śmiech szyderczy, dopóki nie oprze się na sile. Zresztą Zola daje nam przykłady istotnego i czystego idealizmu, odnajduje go tylko nie w obozie tryumfujących, gdzie ich nie ma, lecz w obozie cierpiących i walczących. Proszę sobie tylko przypomnieć niektóre postacie z *Germinala*, z *Ventre de Paris*, z *l'Argent* itd. Zobaczymy po tym ogólnym szkicu, jak Zola się zapatruje na tę sferę społeczną, która stanowi przedmiot ostatniej powieści, *Pieniądz*, na sferę finansowo-przemysłową. Teoretycznie znajdujemy tu pogląd zupełnie uzasadniony, iż okres kapitalistyczny był konieczną fazą przejściową w rozwoju ludzkości, iż giełda stanowi w nim ważne narzędzie organizacyi pracy, gdyż w niej się schodzą wiadomości o popycie i podaży, regulujące wciąż wytwarzanie, iż swemi spekulacyami przyczynia się ona w znacznym stopniu do przedsiębrania takich prac, jak przebicie Suezu itp., które pojedynczymi wysiłkami kapitalistów w żaden sposób do skutku doprowadzone być nie mogą. Wywołuje nareszcie peryodyczną ruinę masy drobnych posiadaczów i w ten sposób przygotowywa grunt pod przyszłe społeczeństwo, w którem pieniądz, wykonawszy swą rolę historyczną, zniknie. Obecnie jest on „nawozem" na gruncie, „z którego społeczeństwo przyszłości się wylęgnie." Wszystkie te poglądy wyraża uczeń Marxa, Zygmunt Busch. Autor maluje nam go dość pobieżnie, ale z widoczną i gorącą sympatyą. Jest to umierający suchotnik, który ostatnie chwile życia z zupełnem zapomnieniem o sobie poświęca bliźnim i troskom o nich.

Trzeba przyznać, iż autor wybrał nieszczęśliwy przedmiot dla udowodnienia swych teoryj. Mamy tu zwykłego piratę giełdziarskiego, Saccarda, który zdaniem Zoli posiada wrzekomo geniusz finansowy, polegający na utworzeniu z niczego banku i doprowadzeniu jego akcyj do 3000 fr. ponad normalną ich wartość za pomocą gry. Tymczasem podstawa materyalna tej spekulacyi, przedsiębiorstwa na morzu Śródziemnem i w Azyi Mniejszej, nie może utrzymać tej masy kapitału, nie daje należytego procentu, dzięki czemu Gunderman (Rotschild) po wielu staraniach nareszcie niszczy nowoutworzony bank i zrujnowawszy wiele tysięcy biedaków, zagarnia do kasy ich majątek.

W ten sposób autor dowiódł całkiem czego innego, niż chciał dowieść: z przedstawienia jego wypada, iż giełda służy za środek nie organizacyi, lecz rozstroju wytwarzania, gdyż przedsiębiorstwa małoazyatyckie wraz z krachem giną. Istotnie, giełda, która na początku naszego stulecia wnosiła jeszcze pewien ład i porządek w anarchię produkcyi, obecnie zwiększa już tylko tę anarchię, dając możność pewnej ilości grubych rekinów połykać nieszczęsne ofiary. Jej rola historyczna, również jak i kapitalizmu wogóle, w Europie zachodniej już się ukończyła. Gdyby Zola określił swoją powieść eksperymentalną, jako opartą na badaniach naukowych, nie zaś jako mającą wprost na celu te badania, nie można byłoby mu nic zarzucić. Czas już, aby sztuka porzuciła idealizacyę bajd wysnutych przez pierwotne umysły i pracowała w zgodzie z wynikami myśli nowożytnej, bez których wszechstronna synteza, stanowiąca niezbędny warunek wrażenia estetycznego, jest niemożliwa. Otóż Zola znakomicie stosuje wyniki nauk społecznych do literatury. Nie będziemy mu też czynili grzechu i z tego, że do powieści swych wprowadza antropologię; niestety, ta najmłodsza z nauk nie dała jeszcze żadnych prawie pozyty-

*) W tym przedmiocie E. Tissot: *Les evolutions de la critique française*, 1890.

*) Na innem miejscu dzisiejszego numeru czytelnik znajdzie uwagi, wyrażające częściowo naszą odmienność w poglądzie na Zolę. *Red.*

wnych rezultatów, dlatego też nić dziedziczności, którą Zola wszędzie przeprowadza, rwie się na każdym kroku i nawiązywana jest w sposób do śmieszności sztuczny. Dość powiedzieć, że w *Pieniądzu* przejawia się ona tem, że ojciec i syn (Saccard i Wiktor) gwałcą dziewczęta i to w sposób identyczny. Długo jeszcze trzeba będzie czekać, zanim z tych ciemnych dziedzin uda się wydostać jakiś promień i wprowadzić do literatury. Zobaczmy teraz, co Zola wniósł sam do niej, niezależnie od otoczenia społecznego i poglądów naukowych, które w sposób identyczny z nim może posiadać wielu innych pisarzy — co wniósł, jako indywidualizm. Bardzo słusznie — w zastosowaniu do siebie — mistrz naturalizmu określił niegdyś sztukę, jako „rzeczywistość widzianą przez temperament.“ Pod tym względem rzeczywistość zostaje przeżeń zazwyczaj nader charakterystycznie zmienioną i nabiera jakiejś posępnej i zmysłowej poezyi. Temperament Zoli zawiera w sobie znaczną dozę namiętności. „Kein Genie ohne Leidenschaft,“ słusznie wyraził się Mommsen, mówiąc o Cezarze. Zobaczcie, z jaką namiętnością Zola maluje swych bohaterów i bohaterki. Nana ze zwykłej ulicznej dziewczyny staje się jakąś zmorą mistyczną, roznoszącą po świecie rozkład i zepsucie; Saccard w *Pieniądzu* ze zwykłego giełdziarskiego oszusta—jakiemś demonicznem wcieleniem ducha rozkochanego w złocie, jego blasku, muzyce, lubiącym obracać kapitałem dla samego procesu obracania, przyczem ani grosz nie pozostaje w jego brudnych i chciwych łapach. Jakkolwiek Zola przedstawia siebie w „Dziele“ jako umiarkowanego i zrównoważonego Jandoza, my byśmy go prędzej porównali pod tym względem z maniakiem C. Lautierem, tylko że Lautier, podług przedstawienia autora, jest genialnym, Zola zaś posiada tylko znaczny talent — nic więcej. „Jest w nim coś z Michała Anioła“ — mówi Lemaitre. „W tej potędze namiętności, nieznajdującej należytego ujścia, trzeba, zdaniem naszem, szukać przyczyny pesymizmu Zoli, który w duchowej jego fizyognomii przedstawia rys nader wybitny. Jest w naszym autorze wiele materyału na człowieka akcyi lub na apostoła, tymczasem przyjął on lub pozwolił sobie narzucić zupełnie inny, beztendencyjny kierunek. Kto wie, czy nie zrobił tego dla 60 tys. fr. rocznego dochodu, które, jak niedawno obliczył, „własnem piórem“ zarabia. Taki rozstrój wewnętrzny wytwarza zazwyczaj pewnego rodzaju ofiary społecznego temperamentu, które każdej chwili gotowe są samemu naplué sobie w oczy, albo też przenoszą gryzące ich dolegliwości na ludzkość w formie nienawiści. Jest to niezbędna reakcya pewnego nastroju duchowego. Inaczej nie możemy sobie objaśnić tej zmory apokaliptycznej, która trapi większość romansów Zoli i wprowadza zgrzytliwy rozdźwięk do wiary w przyszłość, która skądinąd z nich się wydziela. Rozumie się, mówimy tu o psychologii pisarza, nie zaś o otaczających go stosunkach, które pesymizmowi jego dostarczają dostateczną ilość pokarmu. Mówimy, iż Zola z temperamentu powinien być działaczem lub pisarzem tendencyjnym, ale w takim razie *Nana* nie rozeszła by się w 100,000 egzemplarzy. Wolelibyśmy, aby otwarcie wystąpił do walki za ideały, z którymi sympatyzuje, ale cóż robić, trzeba go brać takim, jakim jest. A w tej formie przedstawia on człowieka europejskiego, o wielkim dowcipie, rozumie i talencie. I dlatego można śmiało zarekomendować przestudyowanie go naszym, że tak powiem, literatom, którzy z zadziwiającą naiwnością przyznają się do tego, że czytali tylko półtora romansu Zoli. Wyniosą oni zeń więcej korzyści, niż z Sienkiewicza, Prusa *et tutti quanti* razem wziętych, jakkolwiek są to pisarze tendencyjni. Bo jeżeli ideał broniony przez pisarza nie jest ogólnoludzkim i zgodnym z wynikami nauki, jeżeli on nie jest europejskim, lecz zaściankowym, to wolimy już beztendencyjność. Krytyka podnosi z powodu ostatniego utworu Zoli znowu zarzut fatalizmu, który mu już często robiono. Saccard prowadzi swe spekulacye, rujnujące tysiące rodzin w taki sposób, jakby był pozbawiony w zupełności zmysłu moralnego, baczy tylko na kodeks i wymknąwszy się z jego szponów, już rozpoczyna nową operacyę bez najmniejszych zgryzot sumienia. I autor bynajmniej nie myśli mu brać tego za złe, przeciwnie, gotów poczytać ten krok ceremonii za konieczną oznakę wielkości i geniuszu. Fatalizm ten i indyferentyzm Zoli wzbudzają powszechne oburzenie i do pewnego stopnia słuszne. Nie ulega wątpliwości, iż czyny ludzkie na równi ze zjawiskami przyrodzonemi nie mogą się wyłamać z pod praw niezniszczalności siły, panujących w całym wszechświecie. Ogólnie więc mówiąc, fatalizm jest zupełnie usprawiedliwiony. Jeżeli wszakże przyjrzymy się konkretnym warunkom rozwoju społecznego, to zauważymy, iż impulsy czynów ludzkich, podlegając wciąż ogólnym prawom mechaniki, przenoszą się wciąż z warunków zewnętrznych do pobudek wewnętrznych. Sfera, w której indywidualizm ludzki przejawiać się może, rozszerza się ciągle w miarę podboju natury i emancypacyi społecznej. Chłop pańszczyzniany miał więcej przestworu dla rozwoju swego indywidualizmu, niż niewolnik starożytny; obecny robotnik więcej, niż chłop pańszczyzniany. Współczesny człowiek w Europie zachodniej przybliża się już pod względem stosunków prywatnych i politycznych do ideału postępowania podług własnej „woli,“ ale za to w stosunkach ekonomicznych znajduje się on jeszcze pod ślepą władzą całej sumy warunków zewnętrznych odeń niezależnych, tak samo, jak człowiek pierwotny ślepo musiał się poddawać otaczającej go naturze. Dopiero obecnie ludzkość przystępuje do zorganizowania swych stosunków ekonomicznych, do zdjęcia z człowieka niepewności związanej z troską o chleb. Pobudki naszego postępowania jeszcze bardziej się przeniosą wewnątrz nas, indywidualizm ludzki zdobędzie nowe przestwory dla swego rozwoju. „Wolna wola“— można powiedzieć — wciąż rozwija się, pozostając jednak wciąż w zgodności z prawem mechaniki. Dla objaśnienia tej myśli weźmy przykład: wyobraźmy sobie jakiś złożony i potężny mechanizm zegarowy, któryby nadawał pobudkę wszystkim bez wyjątku ruchom odbywającym się we wszechświecie. Gdyby mechanizm ten posiadał świadomość, śmiało mógłby sobie wyobrazić, iż ma „wolną wolę“ i to w najwyższym stopniu, iż jest Bogiem, jakkolwiek wszystkie jego ruchy odbywałyby się na zasadzie prawa niezniszczalności siły! „Wolna wola“ nie znajduje się więc bynajmniej w sprzeczności z fatalizmem: ona nie „jest,“ lecz „się staje“ — jak powiadają niemcy — w miarę tego, jak pobudki naszych czynów przenoszą się coraz bardziej ze świata zewnętrznego w nas samych. Ale obecnie pobudki ludzkich czynów zawierają się szczególnie pod względem ekonomicznym daleko bardziej na zewnątrz, niż wewnątrz naszego „ja.“ Dlatego też fatalizm Zoli jest w znacznym stopniu usprawiedliwiony. W innych dziedzinach — nie: tam „wolność“ człowieka ma więcej przestworu. Ale opracowanie tych kwestyj wymagałoby takich cieniowań psychologicznych, na które Zola jest stanowczo niezdolny. Dla niego wszędzie i zawsze istnieje fatalizm.

L. W.

ŚRÓD MUZ

VI.

Rzeźba na wystawie Zachęty. — Prace Brodzkiego: Kard. Czacki i Amor. — Dłuto pp. Kochanowskiego, Kuhna, Wiśniewskiego, Godeckiego. — Projekty pomników dla Żółkowskiego i Królikowskiego. — Konkurs na pomnik dla Moniuszki. — Protest w obronie Kurzawy.

Bywają na świecie prawdziwie dobre rasy. Polegają one nie koniecznie na tryskającym z oczów rozumie, albo pięknej budowie ciała, lub też szczególnie szlachetnym wyrazie twarzy. Nieczęsto dobra rasa ma w sobie raczej coś z charta albo czystej krwi wyścigowca angielskiego, chuda, szpetna, zwyrodniała, ale subtelna. Typy tego rodzaju bywają zawsze kamieniem probierczym dla talentu artysty, portretującego je pędzlem czy dłutem, bo przy całej dokładności rysunku i rozumieniu fizyognomii, bardzo łatwo owe nieuchwytne cechy dobrej rasy zatrzeć, przesadzić albo i zupełnie przegapić. Dla tego tak wielkim był Van Dyck, że na jego płótnach twarze Stuartów mają prawdziwie po królewsku delikatne, wyhodowane długą i mozolną kulturą ciała i pojedyńcze członki, natomiast i Rembrandt i Rubens byli zanadto zdrowi i mięsiści, ażeby módz odtwarzać dostojne modele, wypielęgnowane w puchu, próżniactwie i karesach kobiecych.

Owóż cały charakter takiego wytwornego pochodzenia zachować potrafił nieuszkodzonym p. Brodzki w swem popiersiu kardynała Czackiego. Jest to robota godna ze wszech miar widzenia, jedna z niewielu zdarzających się u nas. Tym razem— co się rzadko trafia w naturze, z dobrą rasą złączyła się prawdziwa inteligencya, rozum subtelny, może jezuicki może dyplomatyczny — i tak wyraziście wypiętnowane są w portrecie tym, że na jego widok cmoktasz językiem z prawdziwem zadowoleniem. Widziana z przodu głowa przybiera odcień ironii lekkiej, ledwie dostrzegalnej, wielkopańskiej; delikatne rysy stają się odrazu znajomemi — niech *monsignor* tej poufałości nie poczyta widzowi za obrazę kościelnego majestatu — a duża czaszka, ładnie nad czołem sklepiona, przypominająca trochę czaszkę Leona XIII, posiada i w marmurze całą charakterystyczną niekiedy dla ludzi wybitnie zdolnych budowę.

Nie pozbawioną jest zalet i druga tego samego artysty praca *Amor budzący się*. Jak widać z samego tytułu, rzecz to konwencyonalna, w której nie ma co szukać oryginalnego pomysłu lub motywu. Amorów było już na świecie tyle, że po prostu dziwić się należy rzeźbiarzowi, gdy chce wykrzesać coś świeżego z tego najoklepańszego z tematów. Swojego jednak amora p. Brodzki przeznaczył prawdopodobnie na zwyczajną galanteryjno-erotyczną ozdobę dla wykwintnego budoaru lub sypialni, kto wie, może właśnie dla... kardynała Czackiego i przeto utwór sądzić jeno należy ze stanowiska dobrego galanteryjnego smaku. Wówczas okaże się, że swawolny ów bożek miłości bardzo zręcznem i gustownem jest bawidełkiem. Leży on w muszli, która niby kielich kwiatu na smukłej łodydze, wspiera się na rozpłaszczonych ogonach trzech potworów fantastycznych, z rodzaju trytonów lub delfinów, w ten sposób, że cienkie ich i podłużne ciała, skręcone w szrubę, tworzą postument, podstawę zaś, odpowiednio szeroką ich łby. Amorek rozkosznie i swawolnie uśmiecha się uśmiechem i policzkami szablonowymi; nie ma w nim ani o jeden gran więcej soli, niż we wszystkich znanych jego braciszkach, jeno czysto i wygodnie i należycie ciężko na posłaniu swem spoczywa.

Wprawdzie ś. p. doktór Lubelski mało przypomina amorka, że jednak sąsiaduje z nim, wspomnimy na tem miejscu o bio-

ście nieboszczyka, świeżo przez p. Kochanowskiego wykonanym. Wszelkie nagle — musi być po djable; gdyby artysta nie kwapił się tak, możeby portret wypadł bardziej podobnym; tymczasem widać tylko dobry rysunek, ale zupełny brak owego tak znanego warszawiakom grzeczno-promiennego uśmiechu, w którym tkwił ogrom typu. Pan Kochanowski w gipsie swym zdołał schwytać na uczynku jakiś zimne, nie znamienne, nie wyraziste skrzywienie się, mające ów śmiech wyobrażać; zawiera on tyle podobieństwa do oryginału, ile prowincyonalne fotografie — to jest, mniej więcej, połowę.

Tak samo grzeszy brakiem wyrazu głowa damy w stylu *rococo* dłuta p. Kühna; modelowaniu nic zarzucić nie można; jest dosyć miękkie i pewne ale sama twarz zastanawia dziwnym brakiem jakiejkolwiek indywidualności, o ile kto nie zechce dopatrywać się duszy i typu w mdłym, zgoła nic nie mówiącym uśmiechu kokieteryjnym.

Już na co innego, bo na brawurę ruchu obliczył swą terrakotę „Zaporożec tańczący" p. Leon Wiśniewski. Myślelibyśmy, co prawda, że to zagrodowy szlachcic, dajmy na to, z zaścianka Dobrzyńskich, tak w nim mało czuć i młodości i małojectwa, ale mniejsza o prawdę typu. Główna, że motyw banalny dosyć, mimo troskliwe odrobienie i że twarz nie została wciągniętą do gwałtownej akcyi całej figury i robi wrażenie śpiącej.

W ogólności tego rodzaju rzeźb na wystawie Zachęty nie braknie, jeno są one wszystkie po największej części do zbytku spowszedniało w motywie i rzadko kiedy udolniejsze w wyrazie; rozmaitego rodzaju popiersia osób znanych nadają się chyba do tego, żeby je ustawić w niszy sieni, przy klatce schodowej, pod gazem, albo na fasadzie domu, między gzemsami. Czyjś, naprzykład, „Mefistofeles" ukrywający przebiegle uśmiechniętą twarz w fałdach płaszcza, jest dziwnie płytką mieszaniną ogródkowej teatralności w pojęciu przedmiotu i niedbalstwa w wykonaniu. Szczególnie nizko stoi u nas widocznie rzeźbiarstwo portretowe, taki bowiem „Żółkowski" artysty głośnego, jakim jest p. Godecki, nie tylko że nie daje nam efektowniejszego nad obstalunkowe układu, nie daje innej niż urzędowa grupy, lecz co najsmutniejsza, nie spełnia dostatecznie elementarnego warunku portretu, to jest nie uderza rzetelnem podobieństwem. To zaledwie cień wielkiego naszego komika, ale nie on sam. I oto nowe potwierdzenie, że szanowni nasi Fidyasze — bądź z biedy, bądź z braku odpowiedniego przejęcia się godłem sztuki, nie wchodzę tu w przyczyny — wypuszczają z rąk najwdzięczniejsze tematy. Niezwykle wyrazista twarz Żółkowskiego zanadto wraziła się w pamięć i wyobraźnię całego miasta, ażeby kogokolwiek zadowolnić mogło powierzchowne całkiem oddanie jej w glinie lub gipsie. Głowa Żółkowskiego bez właściwej duszy Żółkowskiego z jej pozorną powagą, wyrazistemi oczami i skrzącemi się tu i owdzie płomykami jowialności, nie może rościć pretensyi do uznania. Za granicą takie rzeczy, nieprzetrawione, nieprzemyślane, niewolniczo trzymające się recepty posągu dawnego, nie *skondensowane* jak się należy, pod względem strony duchowej, wyrabiają się w spekulacyjnych pracowniach na potrzebę rynku wielkomiejskiego i jarmarcznej gawiedzi.

W takich warunkach trudno spodziewać się arcydzieł i od konkursów; jeżeli wziąć zwłaszcza pod uwagę, że sama natura konkursu działa ogłupiająco. Bo że tak jest, świadczą najwymowniej w świecie projekty pomników dla Żółkowskiego i Królikowskiego, wyróżnione przez odnośny komitet. Laureatami są pp. Woydyga i Lewandowski. Choć ludzie to zdolni i nie nowicyusze, ich dzieła są szczytem miernoty i pospolitości. Jakto, więc żeby nie pokusić się nawet o inną, mniej oficyalną i bardziej charakterystyczną dla wielkich aktorów pozę i ruch, niż postawa jak do superrewizyi? Ależ to wstyd i impotencya, granicząca ze skandalem! Dla początkującej „naiwnej," która nie wie co robić ze swemi rękami, podobne „figury" byłyby odpowiednim pomnikiem, ale nie dla dwóch żywych skarbnic ruchu, giestu, wyrazu, mimiki, akcyi, dla dwóch po scenie obracających się światów, z których każdy chwilę jednostajności lub spoczynku uważałby sobie za zbrodnię. Nie wiemy, jakie tam są owe role, w których występują Żółkowski p. Woydygi i Królikowski p. Lewandowskiego, ale to pewna, że teatr nasz pozyska dwóch nowych marmurowych statystów, mających uosabiać dwa punkty szczytowe — dramatu i komedyi — pierwszej sceny polskiej! Czy koniecznie trzeba było przedstawić ich w pewnej roli? czy rola ta musiała być niezbędnie martwem pozowaniem i graną tylko przez łydki, trzewiki, surdut, ale nie przez twarz i ducha? czy kto uwiecznił kiedy wielkiego wojownika, malując go śpiącym pod pierzyną? Jak dotąd, chwała Bogu, nie, ale kto wie, z czasem, gdy konkursy będą rozpisywane i rozstrzygane na wzór naszych — może?..

Niezależnie od tego przydałaby się panu Lew. jedna może przestroga. Całkiem niepotrzebnie czyni on Królikowskiego mężczyzną wysokim. Były wprawdzie czasy, mianowicie za pierwszego cesarstwa, w dobie panowania śród malarzów i rzeźbiarzów wstrętnej służalczości tronowych podnóżków, kiedy np. jeden z dziatwy Praksytelesa zrobił „małemu kapralowi" dwakroć dłuższe nogi, pewny, że majestat imperatora zyska na tem, no, ale to już nieco dawno, lat osiemdziesiąt pięć temu. Godziłoby się więc może zerwać już z ową tradycyą, a w danym wypadku zostawić Królikowskiemu jego właściwy wzrost, który mu nic a nic do tytułu wielkości nie przeszkadza.

Wreszcie, jeśli nawet pominąć ten fałszywy klasycyzm, zostanie jeszcze nieszczęśliwe, w projekcie naturalnie, wymodelowanie szyi i ramion, sprawiających wrażenie, jak gdyby ich właściciel połknął był kij. Wyobrażamy sobie, że dla człowieka żywego takie trzymanie byłoby silną katuszą. Boimy się bardzo, żeby ta wada nie była wadą organiczną... artysty i nie przeniosła się ze szkicu na marmur.

Tak przywykliśmy we wszelkich konkursach swojskich znajdować niewyczerpany wątek do śmiechu, że gdy zbyt długo na niego czekamy, znajdzie się zawsze ktoś litościwy i da nam tymczasową sposobność wzięcia się za boki. Tak właśnie uczyniło w tych dniach gronko literatów, protestujące przeciw uchwale innego znów komitetu konkursowego, który do turnieju „ograniczonego" nie zaprosił Kurzawy. Jak wiadomo czytelnikom *Prawdy*, z inicyatywy i staraniem Mierzwińskiego, twórca *Halki* i *Strasznego dworu* ma się nareszcie doczekać pomnika. Ażeby jednak dobrą i piękną w zasadzie myśl wypaczyć i w błazeństwo zamienić, powierzono sprawę ludziom, którzy z jedynym wyjątkiem prof. Gersona mają tyle pojęcia o rzeźbie i sztuce nieteatralnej wogóle, że pierwszy lepszy podmentarny kamieniarz lub sztukator mógłby śmiało profesorować im. Że p. Mierzwiński tak nieszczęśliwie, tak po krakowsku uorganizował opiekę nad swym pomysłem, nie dziwi nas; od tego jest przecie — tenorem, ale że wybrańcy jego *przyjęli z czystem sumieniem* powierzony sobie mandat i nikt w całej prasie przeciw temu głosu nie podniósł — to trochę dziwniejsze. Snać wszyscy już składamy się z tenorów, nie, gorzej, z sopranów, doskonałych dla chóru papieskiego... Gdyby kto chciał za wszelką cenę usprawiedliwić żal bajkopisarza, że szewcy zabierają się do pieczenia ciast, a piekarze zelują buty, jeszcze nie uczyniłby tego w tym stopniu, co panowie z pierwszego rzędu krzeseł, lub starszy o trzy pokolenia estetyczne od prof. Struvego p. Matuszowski *). No, ale prawda, należeć do *jury* — to przecież taki zaszczyt!

Z tem wszystkiem szczególny komitet pomnika Moniuszkowskiego pod jednym względem postąpił bardzo rozumnie i słusznie, oto nie zaprosił do współubiegania się p. Kurzawy. Sądzimy, że obie strony zawarły tu tak zwany *tacitus consensus*, wiedząc doskonale, że do siebie nie pasują i że byłoby z ujmą godności artystycznej dla twórcy „Mickiewicza budzącego geniusza poezyi," gdyby miał w kwestyach rzeźby podlegać sądowi recenzentów teatralnych. Znalazł się jednak ktoś, kogo zaświerzbiał język, ażeby śladami Filipa z Konopi wtrącić niepotrzebnie swoje trzy grosze i stanąć w obronie Kurzawy. Z jakiej zasady czterej autorzy z *Kuryera warszawskiego* występują jako orędownicy sprawiedliwości w rzeźbie — to ich wyłączna rzecz i nikt niczyjej swady krępować nie może. Złośliwiec mógłby twierdzić, że to chęć prowadzenia dzieła p. Witkiewicza pod własną, niby to samoistną firmą — ale my możemy jedynie zapewnić, że niema najmniejszej podstawy w wyrażonej przez szanowne gremium nadziei, iż do ich podpisów dołączyłoby się mnóstwo innych. Niewątpliwie zdolności do pędu owczego w nas nie brak, ale każda jednostka świadoma i jako tako wykształcona estetycznie wie, że gdy do spraw sztuki miesza się przeklęty duch kliki i wzajemnej adoracyi i wobec niej pragnie rolę sędziów przysięgłych odgrywać, tam *każdy szanujący się artysta* winien się czuć zadowolonym, że jego nazwiska nie pomieszczono na liście uczestników konkursu i że mu zaproszenia nie przysłano.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYSTAWA PRASKA.

23 maja.

Otwarcie wystawy. — Setna rocznica pierwszej wystawy przemysłowej w Pradze. — Wspomnienie historyczne. — Uroczystości. — Demonstracye studentów i chybiony zjazd akademików słowiańskich. — Z wystawy: „Ściana magnatów czeskich."

Dzień otwarcia czeskiej wystawy krajowej obchodzono w Pradze świątecznie: kupcy zamknęli przed południem sklepy, fabrykanci uwolnili robotników od pracy, a minister wyznań i oświecenia polecił oswobodzić uczniów wszystkich szkół państwowych od nauki. Święcił bowiem kraj zarazem setną rocznicę pierwszej czeskiej wystawy przemysłowej (1791). Dzieje owej wystawy są zajmujące, pozostają bowiem w ścisłym związku z prawno-historycznemi roszczeniami czechów i ze sprawą koronacyi, która obecnie stoi na porządku dziennym. Wiadomo, że Józef II był pierwszym cesarzem austryackim, który nie koronował się na króla Czech, pragnąc przeprowadzić z całą surowością system centralistyczny, w którym upatrywał zbawienie swego państwa. Za jego to rządów zgermanizowano wszechnicę praską i szkoły średnie; koronne klejnoty czeskiej złożono w skarbcu cesarskim, a sejm zbierać się miał wtedy tylko, kiedy monarcha uzna za potrzebne. Lecz już za następcy Józefa II, Leopolda II, deputacya sejmowa zdołała wyjednać znaczne zmiany w duchu autonomicznym.

Cesarz Leopold II przybył osobiście do Pragi, gdzie po odebraniu hołdu od stanów koronował się na króla Czech. „Aby J. M. Król za swego pobytu w Pradze poznał

*) Nie mowa tu o p. *Ignacym* Matuszewskim.

wyniki pracy i wiedzy Czech, aby mu ułatwić przegląd, a zarazem pokazać, które gatunki wyrobów osiągnęły już stopień pożądanej dobroci, urządzono w Pradze wystawę przemysłową, która była pierwszą wogóle przemysłową w Europie. O fakcie tym zapomniano; do niedawna powszechnie uważano za pierwszą — wystawę przemysłową w Paryżu 1798 r.

Przedstuletnia miała wielką doniosłość dla przemysłu czeskiego, któremu nowe otworzyła rynki. Cesarz Leopold zaś, poznawszy gorące zamiłowanie czechów do literatury ojczystej, ustanowił na wszechnicy praskiej katedrę dla literatury i języka czeskiego. Wystawa ówczesna miała więc charakter narodowy, a dziś tem bardziej czesi zgodzić się nie chcieli na zatarcie tej cechy i woleli wyrzec się udziału niemców. Mimo nieobecności ostatnich, wystawa roztacza się okazale, a rząd ze swej strony nie poskąpił jej dowodów uznania. Dzięki usiłowaniom hr. Taaffego, który z magnatami czeskimi na poufałej pozostaje stopie, wszyscy niemal ministrowie przybyli do Pragi. Ozdobione miasto w dzień otwarcia przepełnione było tłumami. Wieczorem odbyło się w „Divadle“ przedstawienie galowe, na którem po odegraniu uwertury Smetany artysta dramatyczny Slukow wypowiedział prolog, napisany przez Augusta Mužika. Zaznaczywszy, że czesi przez długie czasy bez niczyjej pomocy dbali o swój rozwój kulturalny, wzywa poeta wszystkie narody cywilizowane, aby przybyły dziś do Pragi i przekonały się o wynikach usiłowań wiekowych. Dowiedzą się zarazem, że naród czeski niczego dziś nie żąda, prócz swobody dalszego rozwoju, sprawiedliwości, równouprawnienia i przystępu do wszystkich zdobyczy cywilizacyjnych. Resztę wieczoru zapełniła opera Smetany „Libusza,“ utwór nawskróś narodowy. Kiedy publiczność ujrzała obraz zatytułowany „Żyżka,“ zabrzmiały grzmiące oklaski; była to demonstracya wobec prześladowań, jakich doznaje pomnik Hussa ze strony klerykałów czeskich i duchowieństwa praskiego.

Podczas gdy w „Divadle“ poważniejsi przedstawiciele narodu obchodzili jego uroczystość w sposób umiarkowany, godny i prawdziwie postępowy, tego samego wieczoru młodzież urządziła widowisko innego rodzaju. Wieczornym pociągiem przybyli z Wiednia akademicy słowiańscy, zaproszeni na otwarcie wystawy. Było ich około 200, a młodzież czeska, tłumnie zebrana na dworcu kolejowym, przywitała ich grzmiącymi okrzykami „Na zdar!“ i „Żywio!“ Część gości wsiadła do oczekujących powozów, reszta zaś, otoczona tłumami publiczności, udała się pieszo na plac Wacława do lokalu „Slavii.“ Po drodze nie szczędzono sobie okrzyków anti-niemieckich, które miały cechę napastniczą. To też z programu zjazdu młodzieży słowiańskiej spokojnie załatwić można było tylko punkt pierwszy, tj. ucztę przyjacielską na wyspie Zofii. Ogólnego zebrania zabroniła policya.

Rzućmy wszakże okiem na samą wystawę. Najokazalszą jej część stanowią pawilony możnowładców czeskich, których szereg przezwano „ścianą magnatów.“ Wiadomo, że niewiele krajów poszczycić się może szlachtą tak dbałą o podniesienie kultury krajowej, jak Czechy. To też wystawa dóbr wielkiej szlachty czeskiej odzwierciedla zarazem w pełni stan rolnictwa, leśnictwa i przemysłu. Książę Schwarzenberg, posiadający 203,012 hektarów, a zatem niejako państwo w państwie, wystawia w pawilonie swym wszystkie niemal wytwory, mające doniosłość gospodarczą. Ozdobą tego pawilonu są pyszne perły czeskie, wydobywane z Wełtawy. Muszla rzeczna — *margaritana margaritifera* — najobficiej napotykana bywa w rzekach czeskich; znajduje się jednak w Anglii, a nawet w Chinach. Książę Schwarzenberg prowadzi też kulturę stawową w sposób wzorowy, hodując ryby żywnością, sztucznie przygotowywaną. Zajmujące są wreszcie okazy t. zw. moldanitu, ciała szklistego, o którem do dziś nie wiadomo, czy jest minerałem naturalnym, czy też wytworem przedhistorycznych hut szklanych. Moldanit szlifują wybornie, tak, iż służy obecnie jako materyał do klejnotów naśladowanych.

Pawilon namiestnika czeskiego, hrabiego Thuna, celuje w dziedzinie rolnictwa i łowów. Wystawę z dóbr jego urządzono tak zręcznie, że daje ona obraz wierny postępów w uprawie roli w ciągu dziesięcioleci ostatnich. Poznajemy tam cały wpływ nauki i udoskonaleń technicznych na podniesienie produkcyi rolnej. Osobny oddział zawiera pamiątki po polowaniach arcyksięcia Rudolfa w dobrach Thunowskich. Pawilon hr. Harracha ozdobiony jest wyrobami hut szklanych; najpyszniejsze okazy wyrobów Harracha, lustra niezwykłej piękności, umieszczono w gmachu centralnym. Co tylko wyrabiają w Czechach z żelaza, okazuje pawilon księcia Hanaua; cały zbudowany z tego metalu, zawiera on we wnętrzu swem muzeum wyrobów żelaznych. Hr. Sylwa-Taronka wreszcie wystawił nader oryginalny model całego obszaru posiadłości magnackich, z zamkami, lasami, polami i winnicami drobnemi.

Stwosz.

LIBERUM VETO.

Wędrówka szarańczy. — Niebezpieczeństwo czynienia jej zarzutów. — Potęga godna uwagi. — Spekulacya naturalizmu. — Handel błotem artystycznem. — Panna, mężatka, wdowa i kobieta. — Zadanie bliskiej przyszłości. — Śmiała ruina i jej wielbiciele. — Wygodna filozofia. — Dobry objaw.

Okropnie wszyscy są oburzeni na szarańczę, że w tym roku spustoszyła Algier, a nawet miała zjeść (zębami plotki dziennikarskiej) jednego ciekawego francuza, który pojechał ją badać, usnął i zginął pod nalotem robactwa. Nawet nasze pisma robią jej za to bardzo ostre wymówki. I ja bym się do nich przyłączył, gdybym nie był... człowiekiem. W tej postaci mam pewną obawę. Bo nuż ten w wysokim stopniu brutalny owad, zasłyszawszy o naszych złorzeczeniach, zawoła szyderczo: hej, kotły, nie przyganiajcie garnkom! Szarańcza ma często stosunki z francuzami, zapewnie rozumie ich język i zna przysłowie: „osioł dlatego tak szpetnie beczy, że z wysokiej nuty zaczyna.“ Otóż może ona zrobić nam uwagę, ażebyśmy nie zaczynali z tak wysokiego tonu, mówiąc o jej wtargnięciach, zniszczeniach i skromnych ofiarach, gdyż skończymy fałszywie. Nie należy zaś jej drażnić tem bardziej, że jest to potęga. Ręczę, że Bismark, który zawsze cenił i jedynie szanował siłę, wstąpiwszy na trybunę poselską, zaleciłby rządowi niemieckiemu rozwód z Austryą (według niego już za słabą) a zawarcie przymierza z afrykańską szarańczą. Proszę sobie wyobrazić, gdyby z jednej strony zaatakowały Francyę Niemcy, z drugiej — Włochy, a z trzeciej spadły na nią miliardy miliardów tego robactwa! Zwycięstwo byłoby niewątpliwe.

Ani więc jako potęgi, ani jako potęgi, której „plam człowiek czystym palcem wytknąć nie może,“ nie powinniśmy obrażać szarańczy. Gdyby ona przed sądem natury, jako dowody złożyła tylko: mowy Bismarka, budżety „zbrojnego pokoju“ i powieści Zoli, wygrałaby proces z ludźmi. Głośny powieściopisarz francuski, chociaż narobił tyle wiarogodnych „dokumentów“ współczesnego życia, znowu nie został wybrany do Akademii. Jestem szczery, więc wyznaję, że gdybym należał do 39 „nieśmiertelnych“ nie dałbym mu mojej gałki na 40-e krzesło. Pomijam to, że jego powieści są mi nieraz wstrętne, że w jego czyścicielsko-kanalizatorskiej metodzie tworzenia i w całym naturalizmie zasmakować nie mogę. Jest to bowiem kwestya gustu. Ktoś sądzi, że sztuka jest wyżyną, więc jej szczyty otaczać powinno czyste powietrze, a nie cała mieszanina cuchnących odorów; ktoś inny zaś mniema, że ona jest niziną błotną, pylistą i zaduszną. Mnie się zdaje, że jeżeli człowiek nie chce, czy nie może być bogiem, który by stwarzał nowe światy z rzeczywistego, nie powinien nazywać się artystą; inni twierdzą, że artystą jest małpa, umiejąca wiernie naśladować boga, sumienny kopista, literalnie przepisujący ustępy z ksiąg natury. Ale pomijam tę różnicę upodobań i sądów. Cień, okrywający Zolę, pada nie od jego talentu i zasady tworzenia powieści, ale od jego spekulacyi. Goncourt w ostatnim tomie swojego *Dziennika* powiada, że podczas obiadu pożegnalnego dla Turgeniewa, mistrz naturalizmu odparł czynione mu zarzuty charakterystycznemi słowami: „Łatwo wam tak mówić, bo wszyscy posiadacie majątek, który was uwalnia od wielu kłopotów. Ja musiałem od początku zarabiać na chleb piórem, przechodzić przez różne rodzaje pisania. Boże mój, śmieję się tak samo jak wy, z wyrazów: naturalizm, realizm. A jednak powtarzać je będę ciągle, bo trzeba koniecznie te rzeczy świeżo ochrzcić, aby je publiczność uważała za nowe.“ Więc cały naturalizm — *c'est une affaire*, przedsiębiorstwo, które daje dochody; więc całe to szlamowanie życia, to wydobywanie na wierzch najgorszych jego zawartości, te psio-ludzkie wesela i bekowiska — wszystko to dla ściągnięcia franków? Szlachetna idea! Wobec niej nietrudną chyba byłaby do rozwiązania zagadka: co Zola zrobiłby, gdyby jego *Nany* i *Ziemie* nie rozeszły się w dziesiątkach i setkach tysięcy egzemplarzy, lecz znalazły skromny odbyt i wywołały odrazę? Czy dalej uprawiałby naturalizm, czy też może zwróciłby się do najeteryczniejszego a popłatnego idealizmu? Zapewne nikt nie wątpi, co wybrałby szanowny apostoł. Stał on się głównym kolektorem powieści nowoczesnej, wytworzył w niej całą sieć kanałów i przykanalików gwoli geszeftu. Każdy kierunek w sztuce jest dobry i uprawniony, który jest szczery, a każdy zły i nieuprawniony, który jest skłamany. Otóż Zola jest najznakomitszym kłamcą XIX w., chociaż się nazywa najwierniejszym jego malarzem. Nieprawda, ażeby rzeczywistość była tak ohydna, nieprawda, ażeby taka jej ohyda mogła być głównym materyałem sztuki i nieprawda, ażeby Zola w to wierzył. Że on w zakresie życia ludzkiego dopuszcza się fałszerstw umyślnych, dowodem jego poetyczne opisy natury. W przyrodzie nie widzi lub nie uwydatnia brzydkich szczegółów, chociaż przecie ona zawiera ich mnóstwo i żaden krajobraz, jeśli na niego spojrzymy po zolowsku, nie przedstawi się idealnie. Jedynie ze stosunków ludzkich ten „naturalista“ dobywa zgniliznę, bo ją zyskowniej sprzedać można. Że tam gdzieś leży padlina, że zakwaśniało trzęsawisko, że chwasty obrosły pole, że mchy brodate uczepiły się drzew itd. — to do wierności obrazu nie należy. Natura jest dla Zoli zawsze piękna, a człowiek zawsze brzydki. Ale czy ci ludzie są ohydniejsi, których on maluje, czy ci, których powieściami swojemi uszlachetni — to wielkie pytanie. Być może, że zolizm będzie miał racyę bytu dopiero po Zoli.

Ciekawy byłby odczyt tego „naturalisty“ o pannie, mężatce i wdowie. Przypuszczam, że słuchacze (nawet ci, którzy w samotności spożywają jego przysmaki powieściowe) naprzód zaczęliby kaszlać lub otwierać lufciki dla wpuszczania trochę turkotu i świeżego powietrza, potem spuszczać oczy, a wreszcie wynosić się z sali. Nie mieli tego kłopotu z p. Kamińskim, który wykładem o tych przedmiotach zakończył seryę

tegorocznych prelekcyj na dochód Osad rolnych. Jako prawnik, wziął do rąk kodeks i objaśnił ciekawych, co ta księga mówi o każdej z trzech postaci niewieścich. Pannie przyznaje stosunkowo najwięcej samodzielności i praw, mężatce najmniej. Ogólnie wszystkie one wiedzą o dobrodziejstwach i przywilejach społecznych swej płci. Wiedzą, że złożywszy dowody rozumu i pracy, nie uczestniczą w zarządach gminnych lub w wyborach delegatów do instytucyj publicznych, gdzie mężczyzna nawet tak głupi, jak jego spodnie, ma nad niemi przewagę; że zebrawszy sobie kapitalik, nie mogą nim rozporządzać bez woli marnotrawnego męża; że istota, która dziś jest uznana za zdolną do rozporządzania swoją osobą i mieniem, jutro, poślubiwszy byle facetusa, staje się odrazu ubezwłasnowolniona itd. itd. Ile kroków naprzód potrzebuje jeszcze zrobić ludzkość, zanim dojdzie do zupełnego równouprawnienia płci— nie wiem. Ale przez coraz szerszy wyłom jaki kobiety robią w murze, odgradzającym je od nauki i pracy, przejdzie już wkrótce uwalniająca je z pęt sprawiedliwość. Już dziś zaledwie możemy to pojąć, że doktorka, która skończyła uniwersytet i zarabia na swoje utrzymanie, zostawszy żoną łobuza i próżniaka, musiałaby otrzymać jego zgodę na akt rejentalny 100 rublowy. A przecież tak jest. W takich wypadkach nie tkwi żadna poważna kwestya, ale smutna humorystyka.

Sędziwa matrona i wielokrotna jubilatka, która zasłużyła już sobie na popiersie w korytarzu przybytku wesołej muzy, ale straciła środki potrzebne do drażnienia nerwów męzkich, pani Judic, przyjechała na występy do Warszawy. Ta mocno odcukrowana figa mniema, że my dość jesteśmy niewybredni, ażeby ją podziwiać w uschnięciu. Nie pierwszy to raz zagraniczni artyści i artystki wymagają od nas lubownictwa archeologicznego i każą nam się podziwiać jak poszczerbione wazy lub talerze. Na taką wystawę dla dogodzenia miłośnikom starożytności przybyła p. Judic. Pojmuję wiekową niewiastę, która udaje na scenie naiwną wiochnę, ale nie pojmuję, na jakie złudzenie liczy i czego wogóle chce od widzów staruszka, podciągająca spódniczki i rzucająca ponętne wędki. Wprawdzie są gusty... „Co tu pomogą — woła sprawozdawca *Kuryera codziennego* — wszelkie gadaniny na temat wyszarzanych sław zagranicznych, które wtedy przypominają sobie o Warszawie itd. Także ów koturn recenzenta warszawskiego, na który się czasem włazi *mimowoli*, aby wypalić kazanie o wyrzucaniu pieniędzy na obce przekwitłe artystki, podczas kiedy własny teatr itd. — ten koturn jest po prostu *śmiesznym* wobec tego, że p. Judic itd... Co mnie to obchodzi, że nieco jest zanadto rozkwitnięta (*sic!*); co mnie obchodzi, że jej rodzaj nie nazywa się w areopagu krytycznym rodzajem wyższym na drabinie sztuki, co mnie obchodzi, że publiczność jest zachwycona i licznie się zgromadziła... nic mnie to nie obchodzi, bo to, co widzę i słyszę, jest ostatnim wyrazem sztuki, która niech sobie będzie bulwarową, kawiarnianą czy jak tam chcecie, dość że jest doskonała:“ Ślicznie, bo szczerze, a jakkolwiek nazwiecie tę szczerość, przyznajcie, że jest ona w swoim rodzaju również doskonałą. Takiego— jakby tu rzec najdelikatniej — hedonizmu nie spotkaliśmy dotychczas w prasie warszawskiej. Pójdźmy za jego nicią dalej. Czy nie należałoby odrzucić całkiem „śmieszny koturn,“ nie włazić nań nawet „mimowoli,“ zamknąć teatr własny, a za pieniądze, które on pochłania, sprowadzić z zagranicy transport starych i młodych „ostatnich wyrazów pewnego rodzaju sztuki“? Wtedy ustałyby już „wszelkie gadaniny moralizatorskie“ i użylibyśmy dobrego do syta. Sądzę też, że pismo, które dotąd piętnowało każdego zbytkownika, sprowadzającego sobie z Nicy bukiet kwiatów lub z Paryża garnitur mebli, po występach p. Judic i po swojem wyznaniu zaprzestanie podobnych napomnień. I gdybyśmy wszyscy (a przynajmniej ci, którym los pozwala) przejęli się tą filozofią, uwolnilibyśmy się od wielu niepotrzebnych strapień. Wyobraźcie sobie: siedzimy w dobranem gronie i z rozmaitych kombinacyj likierów francuskich przyrządzamy coraz nowy smaczny napój. Nagle przez otwarte okno wpada jęk i prośba zgłodniałego biedaka. Ktoś proponuje, ażeby pieniądze, przeznaczone na pijatykę, oddać ubogiemu. Odpowiemy mu: odrzuć do licha ten koturn miłosierdzia, co nas obchodzi nędza, kiedy nasza mieszanka jest przyjemna? To samo powtórzylibyśmy innemu moraliście, któryby nas strofował za to, że bawimy się w gabinecie restauracyjnym z jakąś kosztowną damą paryską: co nas by to obchodziło, gdyby ona tylko była „ostatnim wyrazem pewnego rodzaju sztuki.“ Szkoda, że stosunkowo za dużo jest ludzi, których pewne rzeczy i względy obchodzą. Do takich należy np. sprawozdawca *Kuryera warszawskiego*. „Niedobitki starej gwardyi — pisze on — które w tryumfalnym pochodzie dawniej pomijały Warszawę, obecnie chcą nam za drogie pieniądze przywozić tu resztki głosu, urody i zdolności aktorskich... i nawet w słynnem z egzotycznych zamiłowań mieście nie znajdują powodzenia. Amfiteatry świeciły pustkami na pierwszem przedstawieniu p. Judic, wczoraj kilka lóż słoną ceną odstręczyło amatorów wykwintnej sztuki, a na dziś, jak dotąd, ²/₃ biletów pozostało w kasie... Nie myślimy podawać recenzyj o arcydziełach przez p. Judic grywanych, ani rozpisywać się o wielkim talencie tej gwiazdy teatralnej...“ To nowość, do której nie przyzwyczaiły nas *Kuryery*, napędzające widzów i słuchaczów każdej „gwiaździe“ zagranicznej. Nie przemawiam nigdy w imieniu społeczeństwa, a nawet sądzę, że ten mandat coraz mniej będzie miał amatorów. Pozwolę sobie jednak przypuścić, że *Warszawski* lepiej odczuł nastrój ogółu, niż *Codzienny*, bijący w bęben chwały p. Judic. Pozostawmy go przy tem zapewnie potrzebnem i właściwem zajęciu, i zaznaczmy zmianę w jego przeciwniku, która bodajby miała ciąg dalszy. Może jeszcze przyjdzie czas, kiedy nie będziemy mogli mówić, że nasze pisma brukowe bezmyślnem podniecaniem ogółu w pewnych niepożądanych kierunkach paraliżują jego żywotność w innych, pożądanych.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Postęp współdzielczego kredytu na prowincyi. — Kwestya mieszkaniowa. — Niedorozwój Łodzi. — Serwituty i parcelacya w Lubelskiem.

Drobnomieszczaństwo nasze, choć opieszale, ale ciągle postępuje naprzód w kierunku wskazanym przez mesyasza korporacyi. „Szulcówki“ w zakresie kredytu są u nas ilościowo tak słabo rozwinięte, że na porachowanie ich za dużo byłoby dziesięciu palców. Nie wnikając w przyczyny, tamujące wzrost tego prądu w kraju naszym, przyczyny zresztą raczej zewnętrzne i wspólne poniekąd całemu ruchowi współdzielczemu u nas, rzucę okiem na cyfry, malujące stan dwu kas zaliczkowo-wkładowych, czyli „przemysłowców“ starszej radomskiej i najmłodszej — pułtuskiej. Obie one wykazują żywotność instytucyj rozwijających się. Radomska w okresie sprawozdawczym za r. 1890 miała gotowizny rs. 749,665, a obrotu 1,490,156 i kop. 58. Pożyczek udzieliła 480,590 rs., co wraz z niespłaconemi w r. 1889 wynosi 870,869. Pewność ich wobec stowarzyszonych zawiera się w 53,775 rs. wartości nominalnej papierów publicznych i w portfelu 1757 weksli na sumę 611,244 rs. Pożyczek zabezpieczonych wkładami uczestników udzielono 4,038; na zastaw papierów publicznych 66,062 rs.; na weksle solidarnie poręczone 410,490; kapitały umieszczone na procentach wynosiły 586,834, wypłacono 227,565. Odsetki od depozytów sięgały 20,857 rs. Kapitał rezerwowy wzrósł do wysokości 18,352 rs. i 46 k. Udziały 1751 uczestników dosięgły rs. 61,797. Ponieważ w ciągu roku sprawozdawczego wykreśliło się uczestników 127 (z 3,541 rs. wkładów), pozostało więc członków kasy tylko 1,624. Kogo w tej liczbie niema! Rzemieślników 298, urzędników 300, drobnych kupców 222, kamieniczników 109, wdów 42, żon urzędników 74, oficyalistów 40, nauczycieli i nauczycielek 34, doktorów 22, felczerów 15, dalej idą w ilościach zmniejszających się: restauratorzy, piwowarzy, emeryci, woźni, geometrzy, dzierżawcy rogatek, ba nawet lokaje (3) i dorożkarze (2)... Chociaż w to grono zabłąkało się 206 ziemian, nie pozbawia to instytucyi jej właściwego piętna — że jest nawskroś drobnomieszczańską. Rozwój jej wywołał potrzebę pewnych zmian w ustroju, mianowicie co do prawa reprezentacyi, ulepszeń w technice rachunkowości i wzmocnienia kontroli. Pierwszych dokona rewizya ustawy, dwóch ostatnich uchwalony na ogólnem zebraniu ostatniem urząd głównego buchaltera. Na temże zebraniu postanowiono 1 maja r. b. przyjmować depozyty roczne na 5½%, półroczne na 4%, kwartalne 3%. Ta zniżka stopy procentowej jest echem ogólnej dążności kredytu u nas i w Cesarstwie do skromniejszej skali, ujawniającej się w całym szeregu konwersyj. Tylko procent od udzielanych pożyczek otrzymała kasa na dawnym poziomie 8%, co trwać ma aż kapitał rezerwowy urośnie przynajmniej do 50,000 rs. Obfitość gotowizny ośmieliła kasę do udzielania uczestnikom swoim zaliczeń na przekazy kolejowe. Szkoda jednak, że z tego samego źródła nie wypłynął zdrój pomocy dla pracowników kasy, jak było w projekcie. Instytucya działająca w imię hasła wzajemnej samopomocy i chełpiąca się tem, że „wielu ze swych członków wyrwała z żelaznych rąk lichwy,“ pracowitych kółek swojego mechanizmu nie powinna pomijać obojętnie, jeżeli chce być do końca wierną swoim zasadniczym zadaniom.

Kasa pułtuska istnieje od trzech lat i liczy obecnie 213 uczestników, których udziały wynoszą 10,284 rs., obrót zaś w roku ubiegłym wynosił 70,120. Że ten młody przytułek drobnych kapitałów zjednał sobie u nich zaufanie, świadczą cyfry wkładów, sięgające 25,862 rs. tu osiągnięto 1,507, dywidendy od oddziałów wypłacono 865.

Jakkolwiek w kraju naszym wiele jeszcze znajdzie się miast i miasteczek, których ludność skupią kiedyś około siebie podobnego rodzaju instytytucye, nigdy jednak te ostatnie nie przestaną być tem, czem są z istoty swojej: schroniskami małomieszczan, mających co wkładać. Zawsze w nich świecić będzie nieobecnością ta warstwa ludzi, którą los posadził na najniższym szczeblu drabiny społecznej — klasa najemnicza; zawsze na jakich kilkuset uczestniczących w kasie rzemieślników, kupców, urzędników i właścicieli domów, znajdzie się kilkudziesięciu doktorów i adwokatów, kilkunastu pedagogów, kilku lokajów i dorożkarzy — ani jeden zaś robotnik fabryczny lub prosty wyrobnik. Dla nich recepta Schulzego z Delitsch na nic się nie przyda.

Wątpię też, czy znajdzie się w apteczce znachorów społecznych skuteczny środek na inną plagę, niemniej, jeśli nie bardziej może dotkliwą, niż lichwa — na monopol kamieniczniczy. Już skutki jego, drożyzna mieszkań, dają się we znaki prowincyi. Jęczy Krasnystaw uciśniony tą klęską, jęczą może dziesiątki innych miast w Królestwie, które nie znalazły wyraziciela swojego utrapienia w korespondencie jakiegokolwiek pisma. Najgorszem jest to, że przyjemność ta przypada w udziale centrom

fabrycznym — Częstochowie i Łodzi. W Krasnymstawie ceny mieszkań zwiększają się z każdym rokiem. Lokale, które tam niedawno płacono po rs. 200, dziś zdrożały do 500 i więcej. Inny korespondent (w *Dzienniku łódzkim*) powiada o Częstochowie, iż „smutną rzeczywistością" jest przebywanie w niej, ponieważ mieszkań zabrakło. „W ostatnich latach przybyła miastu trzecia część ludności, domów zaś wybudowano zaledwie kilka. Niektóre fabryki mają w tym roku powiększyć liczbę robotników, a domów mieszkalnych zaledwie *dwa* (!) zaczęto budować. A mało jest miast znajdujących się w tak dogodnych warunkach budowlanych, jak Częstochowa, gdyż wszystko jest na miejscu i niedrogie: wapniak budulcowy po 3 rs. sążeń z dostawą na plac, wapno miejscowe lub okoliczne najwyżej po 9 k. pud, cegła, drzewo belkowe od 24 do 35 k. za stopę, placów nawet w środku miasta, ile kto zapragnie." Stosunki mieszkaniowe Łodzi, według naocznego świadka, mają być jeszcze bardziej opłakane, niż w najmniejszem mieście Królestwa. „Dla wyszukania odpowiedniego lokalu za wysoką cenę, pośrednictwo anonsów w gazetach nie zawsze bywa wystarczające i niejednokrotnie dopiero kilkunastorublowe faktorne pozwala zdobyć upragnione Chanaan mieszkalniane. Stokroć przykrzejsze warunki panują w dzielnicach uboższych, które w kwestyi mieszkalnianej nie stoją nic wyżej od osławionych zaułków Londynu (?). Domy zamieszkane przez robotników są prawie zawsze brudne i zaniedbane, składają się z mniej lub więcej znacznej liczby małych klitek, oddzielonych zupełnie jedna od drugiej i tworzących każda jeden lokal itd." — obraz zresztą dobrze znany w nizinach społecznych. Ale co jest najcharakterystyczniejszem w stosunkach mieszkaniowych Łodzi, to postawa jej monopolistów — kamieniczników: usiłują kłaść tamy jedynemu, na jaki zdobyć się może nasze społeczeństwo, środkowi — produkcyi domów. W ostatnich czasach ruch budowlany w tem mieście przybrał szersze rozmiary, rodzący się kamienicznicy ledwie zwrócili tęskne oczy do tamecznego kredytu miejskiego, aż spotkali się z protestem 41 stowarzyszonych i porosłych już dawniej w pierze właścicieli domów w Łodzi, żądających ograniczenia pożyczek na nowo wznoszone. Ten objaw egoizmu szczęściem został odparty przez bardziej liberalny i ludzki odłam członków Towarzystwa, ale słusznie ściągnął na siebie oburzenie opinii publicznej — w uszach zaś lokatorów wydać się musiał potwornem warknięciem brytana, uwiązanego złotą obrożą kodeksu... i dotąd dzwoni złowrogo.

Jeszcze raz pozwolę sobie wyrazić wątpliwość, czy jakikolwiek z zalecanych obecnie środków usunie skutecznie t. zw. kwestyę mieszkaniową, ale to zło, zaostrzone na prowincyi, według jednogłośnych zeznań, niedostatecznością domów, mogłoby przynajmniej złagodnieć, gdyby się wzmogła w kraju przedsiębierczość budowlana. Ale ona z wyjątkiem Łodzi, gdzie już przetarła sobie oczy, wszędzie indziej zdaje się spać jeszcze...

Gdyby Łódź, jeśli ma jaki obecnie herb, chciała go zastąpić innym, stosowniejszym, poradziłbym jej, żeby na swojej tarczy wymalowała „czerwonego koguta." On jej najlepiej przystoi, jej, która pozwala w swoich murach na tak częstą a zbytkową — co smutniejsza, dotkliwą dla „żywych dodatków maszyny" — iluminacyę z fabryk, nieustannie płonących. Ledwie pp. Poznański, Heinzel i wielu innych dźwignęli z pogorzelisk swoje, już Towarzystwa asekuracyjne obliczać muszą straty, które poniosła 13 maja firma Blum i Ginsborg. Pożar wyniknął skutkiem pęknięcia lampy, umieszczonej w sąsiedztwie bawełny. W trzypiętrowym gmachu fabrycznym, należącym do p. Olszera, spaliły się aż dwie przędzalnie, firmy „Blum i Ginsbery" o 4 asortymentach, zatrudniająca 80 robotników i firmy „Rzepkowicz i Kohn" o 2 asortymentach, zatrudniająca 30 robotników. Pierwsza z nich poniosła strat na 90,000 rs., będąc ubezpieczona na 65,000 rs., druga nie była wcale asekurowana. Nadto w tymże samym budynku znajdowała się stolarnia p. Olszera, zatrudniająca 30 ludzi i także spłonęła. Zostało więc bez zajęcia aż 140 robotników. Gdzie leży przyczyna tak częstych pożarów fabryk łódzkich i co wpływa na rozmiary szkód stąd wynikających, które są zwykle tak wielkie? Na pierwsze pytanie mogliby dać odpowiedź tylko sami właściciele fabryk; na drugie daje stan organizacyi ratunku przeciwogniowego. Jak wiadomo, Łódź nie ma jeszcze państwowej straży ogniowej, bezpieczeństwo życia i mienia obywateli swoich powierza opiece ochotniczej. Prócz tego niektórzy fabrykanci, jak p. Poznański i, jeśli mię pamięć nie myli, zakłady akcyjne Scheiblera itp. — posiadają straż własną. Okazuje się jednak, że wszystkie one wywiązać się nie mogą z zadania należycie, że, pomijając istotną dzielność i nawet bohaterstwo osobiste ochotników, siłami, organizacyą lub doskonałością środków ratunkowych nie dorastają do potrzeb, które muszą zaspakajać. Wymownem jest np. to, że w czasie ostatniego pożaru jeden z oddziałów straży ochotniczej „błąkał się po wyjechaniu z domu rekwizytowego dość długo, zanim znalazł miejsce wypadku." Naturalnie, jeżeli to pochodziło nie z trafu, lecz z techniki rozpoznawczej i zdarza się często, zwłoka w ratunku tylko powiększa rozmiary klęski. Bez wątpienia Łódź, która pozyskała już niedawno energiczniejszą i celowiej działającą organizacyę obrony porządku publicznego (według wzoru Warszawy), doczeka się z czasem i lepszej straży ogniowej, tymczasem jednak powinna koniecznie w godle swojem pomieścić „czerwonego koguta," jako widomy znak niedorozwoju pod tym względem. Ptak ten byłby zarazem przestrogą dla towarzystw ubezpieczeń, że polisy *zwłaszcza* fabryk łódzkich muszą być droższe, jako obdarzone szczególnem powinowactwem z ogniem. Może dopiero pod takim naciskiem z zewnątrz lampy zaczną rzadziej wybuchać i rubryka „niewiadomych przyczyn" pożarów stanie się bezużyteczną...

Gazeta lubelska zawiadamia, że sprawa serwitutowa w promieniu jej obserwacyi, tj. w Lubelskiem, ciągle, choć powoli, rozwiązuje się w drodze dobrowolnych ugód. W ostatnich czasach dwa majątki ziemskie dokonały u siebie zamiany służebności: Skorczyce p. Hempla i Trzydnik Mały p. Moczulskiego. W pierwszym 82 osady włościańskie wsi Skorczyce i Majdan-Leszczyna otrzymały po trzy morgi lasu sosnowego, w drugim 16 osad otrzymuje po 4 morgi w połowie lasu średniego, w połowie ziemi ornej. Ugody podpisane obustronnie oczekują zatwierdzenia władz włościańskich.

Daleko powolniejszym krokiem postępuje tamże naprzód parcelacya z udziałem Banku włościańskiego. Rozczłonkowanie np. pomiędzy chłopów dóbr Wojciechów (25 włók) i części majątku Rzeczyca z powodu przeszkód hypotecznych dalekie jest do końca. Na powolny bieg czynności parcelacyjnych Banku w Lubelskiem (wpływają) może bardziej, niż przeszkody prawne, warunki ekonomiczne jego urzędowych klientów: zupełny brak gotówki u ludu. Dwuletni nieurodzaj, niskie ceny zboża i inwentarza zubożyły go znacznie. Zniechęca jeszcze włościan do parcelacyi bankowej wymagany warunek solidarności, poręczającej Bankowi kapitał i regularność wypłaty rat.

Z. Atanazy.

KRONIKA

Sprawy społeczne. W Busku kosztem administracyi kąpielowej powstaje teatr.

— Wychodźctwo żydów z prowincyj południowo-zachodnich przybiera wielkie rozmiary.

— W Kijowie z rozporządzenia ministeryalnego zabroniono nadal mieszkać muzykom żydom przyjezdnym. Wyjątek na sezon letni uczyniono dla najzdolniejszych członków orkiestry resursy kupieckiej. Nadto dzienniki miejscowe zapowiadają wydalenie żydów, którzy pod pozorem rzemiosła zajmują się wszelkimi innymi procederami, mieszkając w Kijowie wbrew prawa.

— Wobec częstych wypadków nieszczęśliwych w kopalniach węgli, ministeryum postanowiło skontrolować istniejące i zarządzić nowe środki ostrożności w okręgach górniczych.

— *Warsz. Dniew.* donosi z powiatu błońskiego, iż z powodu powrotu niektórych wychodźców i otrzymanych listów z Brazylii, ruch emigracyjny zupełnie tam ustał.

— W połowie lipca r. b. otwarty będzie nowy przytułek dla paralityków i idyotów w Warszawie w ogrodzie domu schronienia starców i sierot starozakonnych przy ul. Wolskiej. Na początek pomieści 30 osób na salach ogólnych i kilka w pokojach oddzielnych.

— Z fundacyi małżonków Rostworowskich rozdanych będzie 30 lipca 80 wsparć po 30 rs. dla ubogich niewidomych. Termin składania podań upływa 30 czerwca.

— *Mosk. Wied.* donoszą, iż jednocześnie z ustanowieniem nowego okręgu fabrycznego w Królestwie Polskiem wprowadzone tu będą w życie przepisy z d. 3 czerwca 1886 r. o najmowaniu robotników, oraz utworzone komisye specyalne do spraw fabrycznych.

Szkoły. W myśl okólnika ministra oświaty o ograniczaniu liczby nauczycieli elementarnych, postanowiono, ażeby w szkołach jednoklasowych przypadał jeden nauczyciel na 40 tu uczniów.

— Ministeryum oświaty wydało przepis, na mocy którego władza szkolna powinna wymagać od rodziców-izraelitów, umieszczających dzieci w zakładach naukowych, świadectwa o należeniu do poddaństwa rusklego, tudzież dokumentów, zawierających pozwolenie zamieszkania w obrębie państwa. Ci dotychczasowi uczniowie-żydzi, których rodzice nie mają prawa znajdować się w granicach Rosyi, mogą być zatrzymani aż do ukończenia, poczem natychmiast obowiązani będą wyjechać za granicę. Rodzice ich w żadnym razie nie mają prawa powoływać się na umieszczenie swych dzieci w szkołach i winni natychmiast opuścić Rosyę na żądanie władz administracyjnych.

— W kilku zakładach naukowych w Petersburgu z początkiem przyszłego roku szkolnego zaprowadzone będzie oświetlenie elektryczne.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło okólnikami okręgi naukowe, iż wszyscy studenci uniwersytetów ruskich, korzystający ze stypendyów rządowych na wydziale lekarskim, już w r. b. zaliczeni będą do ministeryum wojny, gdzie odsłużyć mają obowiązkowo pewną liczbę lat. Dotychczas zaliczani byli do ministeryum spraw wewnętrznych, lecz dla braku miejsc wakujących nie mogli być należycie zużytkowani. Od zaliczenia do ministeryum wojny wolni będą tylko studenci żydzi.

— Opracowano program zajęć pszczelarstwem w szkołach elementarnych. Dzielą się one na teoretyczne-zimowe i praktyczne letnie.

— Ministeryum oświaty rozesłało do okręgów naukowych okólnik w sprawie ograniczenia liczby nauczycieli elementarnych i wiejskich. Jako motyw, podano, iż nieraz nauczycielami zostają osoby, pragnące w ten sposób uwolnić się od służby wojskowej.

— W instytucie głuchoniemych w Warszawie wprowadzono systematyczny wykład gimnastyki szkolnej.

— W Dublanach ma powstać budynek na internat dla 40 tu uczniów.

— W sprawie organizacyi galicyjskich szkół realnych uchwalono: udać się ponownie do sejmu galicyjskiego z prośbą, aby ten, uwzględniając konieczne przekształcenie szkół realnych w Galicyi, albo sam taki plan uchwalił, albo wezwał rząd do wniesienia w tej sprawie przedstawienia.

Gospodarstwo leśne. *Now. Wr.* donosi, iż lasy włościańskie wolno będzie wycinać tylko po podziale we-

dług wieku drzew na poręby. Las wycięty w ciągu roku należy oczyszczać ze zwałów i gałęzi, otoczać płotem dla ochrony zagajników od wypasu bydła. Współwłaściciele-włościanie, przekraczający owe przepisy, będą pociągani do odpowiedzialności karnej.

Zdrowie publiczne. Przy ministeryum oświaty utworzono specyalną komisyę, złożoną z lekarzy i pedagogów, w celu rozstrzygnięcia następujących spraw: 1) opracowanie instrukcyi dla lekarzy zakładów naukowych średnich; 2) ścisłe określenie warunków normalnych dla tychże zakładów pod względem hygienicznym (wentylacya, oświetlenie, ogrzewanie itd.); 3) opracowanie programu wiadomości z hygieny szkolnej, których znajomość będzie na przyszłość wymaganą od nauczycieli średnich zakładów naukowych.

— W uzupełnieniu projektu ustanowienia podatku szpitalnego od klasy robotniczej, która ma być leczona bezpłatnie, wyjaśniono, iż do klasy tej należą: służący obojga płci: stangreci, lokaje, szwajcarzy, stróże, kucharki, pokojówki, mamki, pomywaczki i niańki, ludność pracująca w fabrykach, wyrobnicy obojga płci, majstrowie pracujący sami bez pomocy, czeladnicy i rzemieślnicy, pisarze prywatni, subjekci i uczniowie nienależący do zgromadzenia kupieckiego, szwaczki, woźni, dorożkarze, przewoźnicy, łaziennicy, utrzymujący sklepiki z drobnym handlem, przekupnie handlujący na straganach, lub roznoszący produkty i towary i drobni przemysłowcy. *Kur. warsz.* słyszał, iż dochód z podatku szpitalnego, opłacany przez właścicieli domów, ma być użyty wyłącznie na utrzymanie szpitali dla chorych umysłowo.

Wiadomości administracyjne. *Birż. Wied.* donoszą, iż wkrótce wydane będzie prawo, zabraniające bezwarunkowo sprzedawania żydom i cudzoziemcom gruntów naftowych na Kaukazie.

— Osobom pozbawionym praw stanu i zesłanym na Syberyę na osiedlenie lub mieszkanie, a również pozbawionym wszystkich praw i przywilejów, pozwolono żenić się. Kobietom, które nie pojechały ze swymi mężami na zesłanie, pozwolono wstępować w związki małżeńskie.

Sprawy kolejowe. W Petersburgu odbyła się narada przedstawicieli niektórych kolei żelaznych w przedmiocie opracowania przepisów o biletach objazdowych dla komunikacyi pasażerskiej. Narada ustanowiła 36 marszrut podróży objazdowych po Rosyi. W razie zatwierdzenia przepisów przez ministeryum skarbu i komunikacyi, bilety wydawane będą od 1 maja do 15 września z ustępstwem 30%, a na marszruty obejmujące koleje: Władykaukazka i Zakaspijska — 40%. Jako centralne punkty wszystkich 36 marszrut, wyznaczono Petersburg i Moskwę. Termin ważności biletów na marszrutach, w które wchodzą koleje Władykaukazka i Zakaspijska—90 dni, na pozostałych—45. Do planu marszrut nie włączono: Warszawy, Kijowa i Odesy.

— Kolej Malborsko-Mławska, zawiązawszy bezpośredni stosunek komunikacyjny z koleją Nadwiślańską, zastosowała się do jej rozkładu jazdy i poczyniła wszelkie udogodnienia dla spacerowych wycieczek do Gdańska. Pasażerowie kupujący bilety powrotne od Iłowa do Gdańska, uzyskają zniżkę ceny biletu o 50%.

— Rada ministeryum komunikacyi przyjęła projekt ustawy kasy pomocy dla robotników służących na kolejach żelaznych.

— Ministeryum komunikacyi rozpatruje projekt nowej kolei od Brańska przez Kalugę do Moskwy.

— Z dn. 13 maja kolej Libawsko-Romeńska przeszła na własność rządu.

— W Warszawie na stacyi kolei Wiedeńskiej będą powiększone warsztaty, szczególnie oddział naprawy wagonów.

— Koleje rządowe nie będą przyjmowały w kasach monety przedziurawionej.

— W tych dniach wprowadzone będą pociągi kuryerskie pomiędzy Odesą a Petersburgiem przez Brześć. Cena za bilety zmniejszać się będą w miarę dłuższej drogi. Pociągi te skrócą podróż z Warszawy do Odesy [illegible]

— W sprawie rusko-austryacko-węgierskiej komunikacyi towarowej odbywają się narady w Gorycyi (Austrya).

— Ministeryum komunikacyi wyda rozporządzenie, na mocy którego wagony osobowe mają być ogrzewane, bez względu na terminy urzędowe, o ile dnie są [illegible]

— Zarząd kolei Wiedeńskiej wyznaczył 67,000 rs. na urządzenie hamulców automatycznych przy wszystkich wagonach osobowych.

Przemysł i handel. Pod Warszawą założono plantacyę porzeczek na wyrób wina.

— Utworzone będą posady specyalnych agentów ministeryum skarbu dla pośredniczenia w handlu zbożem w portach tudzież na rynkach zagranicznych.

— Podniesiono znowu sprawę zamknięcia fabryk zapałek, które nie wprowadziły u siebie sposobów produkcyi nieszkodliwych dla zdrowia robotników.

Rolnictwo. Ministeryum komunikacyi wydało rozporządzenie, aby zarządy wszystkich kolei zajęły się sporządzeniem graficznych szematów urodzajów przyszłych w celu jasnego określenia, w jakim kierunku może być przewidywany największy ruch transportów zbożowych.

— Ministeryum [illegible] wewnętrznych zatwierdziło normalną ustawę biur do operacyi handlowych w zakresie rolnictwa. Zadaniem jego będzie pomoc w nabywaniu i sprzedaży inwentarza żywego, tudzież pośredniczenie przy zbywaniu produktów rolnych. Biura takie będą otwierane przy stowarzyszeniach rolniczych.

— Ministeryum dóbr państwa opracowało projekt utworzenia specyalnego komitetu dla badania własności gleby rolnej w różnych miejscowościach państwa.

— Powstało Towarzystwo obywateli-ogrodników w gub. podolskiej dla zbytu owoców do Warszawy, Petersburga, Kijowa i Moskwy. Stowarzyszeni będą otwierać w tych miastach składy hurtowne i detaliczne.

Wystawy. Wystawa rolnicza w Kursku odbędzie się lata bieżącego.

— Ministeryum komunikacyi zatwierdziło zniżoną cenę biletów na wystawę środkowo-azyatycką i francuską w Moskwie.

— W Uralsku urządzona będzie wystawa rolniczo-przemysłowa w lipcu.

— W Anwerpii odbędzie się wystawa sadownictwa w jesieni.

Zjazdy. W sierpniu r. b. odbędzie się w Moskwie międzynarodowy zjazd zoologów.

— W Paryżu odbędzie się w tych dniach międzynarodowy kongres sądowników.

Wiadomości literackie. *Ziarno* przekształca się na tygodnik.

— W Krakowie zaczął wychodzić dwutygodnik p. t. *Myśl*, poświęcony literaturze, krytyce i sztukom pięknym.

Zmarli. Kulikow, ruski autor dramatyczny.

— Dr. Konstantyn Frezz, publicysta i socyolog nie[illegible]

— Barry Sullivan, znany autor angielski, w Brughton.

— Ludwik Ponges, współredaktor *Fremdenblatta*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Kaz. L. Wiersz pański zamieszczony być nie [illegible]

Panu Wacł. R. Z wiersza pańskiego zrozumieliśmy bardzo mało.

Prenum. od l. 3. Klein, *Geschichte Dramas*, Proelss *Das moderne Drama*.

Prenumeratorce. Dotrzymamy tej obietnicy już wkrótce.

Panu St. Kr. Artykuł Pański rzeczy nie objaśnia. Filologia ma w tym przedmiocie głos bardzo mało decydujący. Sumienie jest samą świadomością praw moralnych, gdyż objawia się również nieświadomie. Stanowi ono złożony produkt długiego rozwoju i na tej tylko drodze badane być może.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Prenumeratorzy **PRAWDY** otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 17 Мая 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.